

**Vladimir Arseniiević**

# **Pod pokładem**

*Przełożyła Magdalena Petryńska*

*Tytuł oryginału serbskiego U POTPALUBLJU. SAPUNSKA OPERA*

Śladanie i Filipowi

I. PAŹDZIERNIK 1991

O wątpliwościach łóżkowych - Andjela i ja, i jeszcze ktoś (na kogo się czeka) -  
Wizyta Lazara - Szkic o wykonawcach i rozkazodawcach - Dlaczego boję się odwagi Andjeli  
- Głosy ze strumienia

O wątpliwościach łóżkowych

W pewnym momencie, którego nie zdołałem zapamiętać, gdzieś między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia, zrodziła się we mnie potrzeba specyficznego codziennego rytuału. Rytuał ten mógłby należeć do grupy nawyków głowy domu, które w okresie dojrzewania pomagają nam bez reszty znienawidzić własnych ojców. Ci panowie w średnim wieku trzymają się ich kurczowo i wydają się nam żałośnie pogodzeni ze złudzeniem, że życie jest tylko listą dobrze wytrenowanych czynności, nad którymi się nie rozmyśla. Mój pierwszy nawyk wieku dojrzałego polega na tym, że każdego popołudnia po pracy i obiedzie wycofuję się do sypialni naszego mieszkania, Andjeli i mojego, na Molerovej, gdzie zapadam w koszmarne półsen. Szanując niepisany kodeks nawyku, leżę na małżeńskim łóżku nieruchomy jak kłoda.

Oczy mam zamknięte, nawet powieki nie zdradzają mnie drżeniem. Ale nie śpię. Wtulony w siebie, dręczę się tylko, odgrywając przed nieistniejącą publicznością idyllę popołudniowego snu - głęboko w środku, absolutnie przytomny, wydany jestem na męki niezdecydowania.

Nigdy nie udało mi się zrozumieć swoistości tej negatywnej medytacji transcendentalnej, lecz praktykuję ją długo i systematycznie i noszę w sobie bez skargi. Choć na pewno byłoby uczciwiej, a chyba i zdrowiej, spać. Sumienie mojego ojca zawsze było bez skazy i każdego popołudnia okropnie chrapał, nie bacząc na obrzydzenie, jakie starałem się emitować z mojego pokoju, z nadzieją, w żalonym szaleństwie piętnastolatka, że od siły tej nienawiści ojciec mógłby się we śnie rozpaść. A teraz, wciśnięty w szczelinę, której dwie krawędzie stanowią zmęczenie i wina, nie umiem nawet zasnąć jak trzeba. Oczy mam przymknięte, ale za tą zasłoną jestem świadomy. Mój niepokój w tych chwilach (kiedy z zewnątrz wydaję się zupełnie spokojny, pogrążony w krzepiącym śnie) jest taki, że twarz boli mnie od wewnętrznego skurczu, i gdybym w celu doświadczalnym zechciał się uśmiechnąć, od policzka do policzka musiałbym przemierzyć pół świata.

Jeśli dobrze pamiętam, październikowe wieczory 1991 roku były jakieś obślizgłe i zielonożółte, niby niezdrowa wydzielina. Nad Molerową, tego jestem pewien, przez wiele dni

szybował dziwny obłok. Pod oknami czteropiętrowego domu z żółtej cegły porywisty wiatr roznosił pokruszone liście.

Kiedy wieczory są tak parszywe, kiedy powietrze pachnie ciemnością nadchodzącej jesieni, nawet popołudniowemu śpiochowi-amatorowi nie chce się wstać. Każde działanie zapowiada wtedy kłopoty, unika więc mycia włosów, bo szampon na pewno będzie szczypał, a suszarka spowoduje ból głowy, boi się snów, bo wie, że będą złe i straszliwie go udręcą, a jeśli zadzwoni do drogiej mu osoby, niech się nie zdziwi, gdy proste urządzenie go pokona albo przyjazny głos po drugiej stronie (ignorując jękliwie wyrażoną potrzebę wzajemności bez bliskości) chłodno odrzuci propozycję, nie chcąc dla jego przyjemności prostytuować się werbalnie bez z góry ustalonej ceny, i w rewanżu wycisnie go do cna.

W owym czasie, jeśli chodzi o sztukę popołudniowej drzemki, daleko już odszedłem od amatorstwa, a jednak zadrzałem, przejęty niepowtarzalną niepewnością śpiocha.

Wiedziałem oczywiście, że żadna z wymienionych rzeczy nie może przecież być zbyt straszna, ale brakowało mi sił, by stanąć twarzą w twarz z codziennością. Kłopoty przyciągają kłopoty, myślałem, nałożą się jedne na drugie. A mnie nie uda się obronić, kiedy popłynie strumień. Widziałem siebie, spokojnego wobec nadchodzącej katastrofy, niby cieleń łagodnie mrugające przed wyrokiem rzeźnickiego topora.

Jeśli więc nawet usłyszę Andjelę z dzieciennego pokoju, powtarzałem w myślach, pozwolę jej krzyczeć. Bez względu na to, o co chodzi, nie odpowiem. Jej głos, poprzez histeryczny ton, spowoduje pewne uspokojenie. Będzie wibrował w sprężynach łóżka, lecz ja, nie otwierając oczu, stawię mu opór.

Potrzeba przeżycia do końca winy, jakże trudnej do zdefiniowania - winy z powodu własnego ciała, które tak nieudatnie mnie określa - będzie oczywiście silniejsza nawet od tego głosu. Wtedy bowiem, tak jak wcześniej i później zresztą, za nic nie mogłem się pogodzić z przydzielonym mi wyglądem dużych palców u nóg, z numerem butów, z moim wzrostem, wagą, obwodem głowy, kolorem oczu, płcią i resztą danych z karty pacjenta, i wydawało mi się co najmniej głupie, że trzeba to ciało uznać za swoje, skoro i tak pływam wewnątrz niego niby płód w wodach płodowych.

W odróżnieniu od powłoki cielesnej, której nigdy nie umiałem pojąć, koszulka, w której tamtego dnia leżałem, promieniowała esencją doskonałej Koszulki. Nigdy, o ile wiem, nie sprawiała mi niespodzianek, codziennie zachowywała właściwość, jaką miała poprzedniego dnia, wykonana właśnie po to, żeby mi się spodobać. Kupiłem ją, aby mnie

„robiła”, nie była tania, ale nie ma ceny, która może wynagrodzić taką usługę. A kiedy pewnego dnia wyrzucę ją znoszoną - wiedziałem (oto, czym się przeważnie zajmuję, śpiąc - nie śpiąc) - będzie to tak, jakbym odrzucił bezpowrotnie minioną wersję samego siebie: jakbym na końcu rozdziału postawił wielką kropkę.

Andjela i ja, i jeszcze ktoś (na kogo się czeka)

Andjela przysła obudzić mnie dopiero pod wieczór, z brzuchem po brodę. Była w zaawansowanej ciąży i często skarżyła się na gazy i zgagę. Trzy razy w ciągu jednej zaledwie godziny potrafiła sikać. Siedziałem na brzegu wanny, czekając na swoją kolej, a ona z rozkraczonymi nogami niewycelowanym żółtym strumieniem waliła w bęben sedesu. Nie zmieniając pozycji, sprawnie obmacała uda obrzmiałe od mnóstwa wody. A potem, wstając i mimo sterczącego brzucha jednym ruchem wciągając majtki, które zsunęły się jej do kolan, powiedziała, jakby wszystko to trzymało się kupy: Rzym! Cała jej twarz w tym momencie lśniła źle zaadresowaną naganą.

Może powinienem się zdziwić, ale miałem już podobne doświadczenie. Przed rokiem w samym środku Rzymu, w drugim tygodniu naszego miodowego miesiąca, zawałona stosem widokówek i znaczków, które zniszczyła, wylawszy na nie filiżankę ciepłej czekolady, z taką samą naganą na twarzy wypowiedziała uderzająco podobne słowo, niby triumfalną formułkę. Powiedziała wtedy: Londyn!

Potem krążyliśmy po mieście, trzymając się pod rękę.

Jestem pewien, że Andjela, gdyby tylko chciała, mogłaby znaleźć dla siebie wiele: klasztory otoczone rajskimi ogrodami, w których bujnie rosną palmy i pomarańcze, umiejscowione na wzgórzach, skąd widać całe centrum prastarego miasta, płataninę ruin, w których odbijają się minione wieki, poczerniałe schody, na których kroki okropnie dudnią, wąskie, wilgotne ulice, ogromne skupiska willi z dziedzińcami pełnymi cyprysów i pinii, piekielne wrześniowe upały, podziemia tysiąca sześciuset kościołów, renesansowe kopuły lśniące w przedpołudniowym słońcu, obrośnięte pnączami tarasy luksusowych mieszkań na poddaszu, gdzie wygodnie rozparci, opalają się smagli mężczyźni, uliczki, na których sprzedaje się tylko naczynia liturgiczne, mitry i wszystkie te nieprawdopodobne szaty, kamienne anioły z mieczem w wyciągniętej ręce, nowoczesne konkubiny na motorach, obeliski na słoniach i, wreszcie, katakumby, kapliczki udekorowane okrucami kości kapucynów. Andjela jednak, nawet kiedy skończył się nasz miodowy miesiąc, pozostała obojętna i w głębi ducha rozczarowana. Jedyne, co naprawdę urzekło ją w Rzymie, była pewna księgarnia, zakurzone małe pomieszczenie o niezdrowym zapachu, gdzie wygrzebała

stary London Streetfinder, z retuszowanymi fotografiami zabytków w formie dodatku, i godzinami pieściła go rozmiłowanym wzrokiem.

Powiedziawszy „Rzym”, z naganą i znacząco zarazem, spuściła wodę. Strumień, oprócz dwóch mokrych kawałków papieru, zabrał część mojego złego humoru śpiocha. Koło nóg plątał mi się Faraon, kot, którego Andjela wniosła do naszej wspólnoty jako część posagu. Kopnąłem go ukradkiem (doprowadziłoby to Andjelę do szału) i poszedłem za żoną niby wierne zwierzę (tak jak idzie za mną Faraon, kiedy jest głodny) skomplikowaną drogą przez przedpokój i jadalnię aż do kuchni. Dopiero tam Andjela postawiła wodę na herbatę i zdecydowała się rozwinąć zaczęty w łazience temat.

- Trochę się dziś zastanawiałam - powiedziała, zawiązując włosy. - Właściwie super nam było w Rzymie, co? Wcale nie musimy jechać do Nowego Jorku. My dwoje i dziecko całkiem przyjemnie żylibyśmy w Rzymie. I bliżej jest, kapujesz?

Belgrad ją po prostu wykańczał. Tego przedpołudnia w tramwaju numer 7, jadąc odwiedzić rodziców i swego lekarza na osiedlu 45, zmuszona była odwracać wzrok od okropnych współpasażerów. Nie chciała oczywiście patrzeć przez okno, żeby uniknąć zderzenia z teherańską panoramą

Nowego Belgradu, wołała się więc zagłębić w książce, którą doradziłem jej jako odpowiednią lekturę do komunikacji miejskiej. Może powinienem bardziej ruszyć głową, ale chciała coś wesołego, wybrałem więc Gargantuę Rabelais'go, głęboko przekonany, że nie istnieje nic weselszego niż ten „żywot wielce przeraźliwy”. Okazało się jednak, że dla Andjeli książka była niezrozumiała i wręcz nudna. I tak oto w kuchni, z łyżeczką herbaty w ręku, stałem się głównym oskarżonym o wszystko, co w ciągu tego przedpołudnia uraziło jej wzrok - o kartoflowate nosy współpasażerów i złą architekturę, o wypaloną słońcem pustosz i renesansowy humor. Nie odpowiedziałem jednak na zarzuty, pohamowałem się, bo byłem w stanie zrozumieć irracjonalność Andjeli. Narzucone poczucie winy i tak rozstrzygnę jakoś sam z sobą. A ona ile sika, tyle płacze. To chyba z tego mnóstwa wody w udach albo ósmym miesiącu naprawdę trudno jest przebrnąć, ale wszystkie przykrości miną, kiedy Andjela znajdzie się u celu tej wyczerpującej podróży z cudownym zawiniątkiem na rękach.

Nalałem herbatę do filiżanek, mleko do glinianego dzbanuszka, który podarowała nam moja matka z okazji wprowadzenia się Andjeli na Molerową, podałem cukier, a do tego wszystkiego pojednawczy uśmiech.

- Belgrad jest ohydny - przytaknąłem. - Możliwe, że i Rabelais jest nudny.

Nawet jeśli tak nie myślałem, powiedziałem to, żeby uszanować nową wrażliwość Andjeli, gotów się poddać i przyjąć całą winę na siebie. Kogo w końcu obchodzi Rabelais? Byłem zdecydowany, jeśli trzeba, godzinami lizać rany, klęcząc za karę na grochu w kącie naszego małżeństwa, byle tylko

Andjela nie martwiła się bez powodu. Pocieszałem się myślą, że odplacę jej za to wszystko, kiedy nadejdzie pora wyrównywania rachunków, kiedy nasz syn urodzi się i dorośnie.

Będę ją bił do nieprzytomności, przysięgałem sobie, starzec staruszkę, za od lat niezabliźnione rany, które skądinąd leczyłem sam, jak zwierzę - w tym Faraon i ja byliśmy podobni - lizając je w samotności, nie rozczulając się jałowym narzekaniem.

Potomek był nam potrzebny jak analgetyk-placebo.

W tym celu, wykorzystując wspaniały przywilej mężczyzny, zapłodniłem Andjelę, choć możliwe, że ona w tym wszystkim też widziała własną korzyść. W każdym razie brzuch w rekordowym tempie urósł jej taki, że pępek wyskoczył jak guzik, i zostało tylko parę miesięcy do dnia, kiedy wyjdzie z niej całkiem nowa istota: nasz syn! Byłem, rzecz rozumiała, dumny, lecz zarazem, w miarę jak jej brzuch rósł, coraz bardziej bałem się tego tajemniczego dziecka. Wyobrażałem je sobie bezradne, potem wierne, potem lojalne, potem obojętne i w końcu otwarcie zbuntowane, zdecydowane mi się wymknąć. A może wtedy, kiedy w nim zrodzi się bunt, ja bez najmniejszej przykrości będę głośno chrapał każdego popołudnia i syn będzie mnie nienawidził, tak jak ja nienawidziłem mojego ojca przez cienką ścianę dzielącą nasze pokoje?

Czy zdołam zrozumieć go wtedy, kiedy on już nie będzie chciał mnie rozumieć, czy też bezwstydnie okryję się skrawkami zatęchłych więzi? Oto główny problem rodzicielstwa.

Andjela była spokojna. Zajmowała się skręcaniem jointa. Tuż przy niej rozgrzewałem się herbatą, dręczony nierozwiązywalnymi dylematami. Co będzie, jeśli dziecko okaże się zadziorne, zastanawiałem się, z góry nastawione na walkę, której nie będę w stanie przewidzieć? Czy nieszczelna garda ojca-debiutanta okaże się skuteczną obroną w takim klinczu?

Czy też będziemy dyszeć sobie w usta, mój syn i ja, niby dwaj wyczerpani bokserzy, póki nie padniemy obaj, osłabieni wieloma ciosami poniżej pasa?

Wizyta Lazara

Według jakiejś reguły, którą sam ustalił, co sobotę przed południem odwiedzał nas Lazar, młodszy brat Andjeli. W woreczku ściągniętym zwyczajną czerwoną gumką przynosił

mieszankę wonnych ziół - własny wynalazek - i wypijał to powoli, bez odrobiny cukru. Siadając na stołku (a wybierał najmniejszy, którego używaliśmy, kiedy trzeba było wymienić zepsuty bezpiecznik albo sięgnąć po książkę z najwyższej półki), niezdarnie unosił płachty barwy szafranu służące mu za przyodziewek, które opadały w fałdach wokół jego kościstych kolan, odsłaniając bezwłose, można by rzec dziecięce, łydki. Zagubiony w za dużym swetrze własnoręcznej roboty, z wełny szorstkiej jak psia sierść, zdejmował z głowy czapeczkę z krótkim chwościkiem (z tego samego surowca). Za każdym razem na nowo przeżywałem ten spektakularny moment, kiedy ukazywała się przed nami jego lśniąca czaszka.

Poza starannie zawiązanym kosmykiem na karku Lazar nie miał na głowie ani jednego włosa. Często, bez żadnego ostrzeżenia czy zapowiedzi, czytał nam kawałek z jakiejś książki, jednej z tych, które przeważnie bez powodzenia sprzedawał jako domokrażca. Z uśmiechem prawdziwej radości, tak że właściwie przynajmniej w pierwszych, wstępnych minutach przyjemnie było go słuchać, mówił nam o trzech gunach:

Cnoty, Namiętności i Niewiedzy. Mnie zaś frapowało to, że

Lazar nigdy nie próbował wydać wojny swemu obsesyjnemu tematowi, że nie powiedział sobie: „Następnym razem będę mówił o piłce nożnej”. Był zauroczony tą wiedzą i zamiast niego przemawiała jego fascynacja. Widział w sobie kogoś, komu dany został dar wiecznego życia duchowego. Dla nas był niekiedy zwiastunem nowych form w świecie fizycznym.

- Powiedz „dziękuję” - upominałem Andję, która słuchała bez mrugnięcia okiem.

- Można się było tego spodziewać - mówiła Andjela, przytomniejąc. Ona nie umie powiedzieć „dziękuję” nawet dla zgrywy.

Zresztą nigdy nie dawaliśmy się nabrać na te filozoficzne dywagacje Lazara\*. Mdła papka, zakalcowaty pudding cytatów i cudzych poglądów, trochę z Bhagawadgity, resztki nauki Śri Śrimad A. C. Bhaktiwendanta Śwami Prabhupady (którego Lazar coraz częściej nazywał panem Śrilą albo tylko

Śrilą, cały przejęty spontanicznym wybuchem tej jednostronnej poufałości), nieprzetrawiona terminologia figur

Lotosu, Świadomości Kriszny, Transcendentalnej Nauki, cały mistrzowski fajerwerk jego wiedzy i naszego nieoświecenia, przy wiecznie łagodnym, teraz już straszliwie irytującym uśmiešku - tyle od tego cudzoziemca w hiszpańskim kaftanie można było otrzymać w każdej chwili, i ani grama więcej.

Tym razem jednak Lazar był bardziej niespokojny niż zwykle. Po pierwsze, stukał w parkiet reebokiem (a dlaczego w sprawie reeboków był niekonsekwentny i nie zastąpił ich

jakimiś drewniakami czy sandałami z konopnego sznurka, pozostało dla mnie tajemnicą i całymi miesiącami dręczyłem się tym nierozwiązywalnym problemem: cóż takiego duchowego

\* Bo sami wiecie, że sutanna nie czyni duchownego, mówi nam

Rabelais. I powiada jeszcze: tylu ich nosi mnisi habit, a kapłanami nie są; inni zaś otulili się hiszpańskim kaftanem, a Hiszpana i hiszpańskiej odwagi ani na lekarstwo! jest w reebokach, co skłoniło Lazara do zachowania ich jako części swojego stroju?), po drugie, przyjął zaproponowanego skręta, a tego nie odmawiał tylko w chwilach ciężkiego stresu.

Chyba zdecydował się stracić świadomość, bo pociągnął trzy duże machy i żar nagle rozgorzał. Musiał więc odkaslnąć pozostałość rutyny, a uszy - on, wielki nauczyciel - miał czerwone jak uczniak. Żeby się jakoś pozbierać, z oczyma pełnymi łez zatonął w swoich ziółkach. Cudowną techniką potrafił wydobywać z mętnej cieczy zbawienie i spokój.

- Jeśli kupisz pół kilo cieciorki, mogę zrobić wspaniałe żarcie - zwrócił się do mnie głosem niemal pękniętym od kaszlu, ale sekundę później skierował szybkie spojrzenie (kiedy postanowiłem zrewanżować mu się równie autystycznym komentarzem, którego przyczynę będę znał tylko ja) ku Andjeli, która właśnie w tej chwili zatroskana oddała mu niebieską kopertę z powołaniem do wojska i drżącym głosem spytała:

- Kto to przyjął?

- Nie, nie, po pierwsze, nie kapujesz - odpowiedział

Lazar. - Andjelo, myślę, że mama, tak myślę, ale był przy tym

Mihajlo i bała się odmówić. Znasz ją i wiesz, że inaczej by tego nie zrobiła.

- Gówno nie zrobiła! - wrzasnęła Andjela tak nagle, że

Lazar omal nie spadł ze stołka, a ona po tym nagłym ataku iście sycylijskiego rodzinnego gniewu zaspokoiła się wściekłym obgryzaniem skórek, w milczeniu.

- Zresztą - odważył się dodać Lazar - wszystko to nieważne. Liczy się karma.

- Nie powiedziałaś nam, co zamierzasz? - spytałem, zwilżając śliną jointa, żeby się równo palił.

Ale moje słowa obudziły śpiącą na pozór Andjelę i zanim

Lazar zdążył udzielić mi jakiegokolwiek odpowiedzi, skoczyła ku mnie i wysyczała mi prosto w twarz:

- Jak to „co zamierzasz”? Nie ma co zamierzać, ma się ukryć - i odwróciła się na pięcie do Lazara. - Lazar, ro-zu-

- miesz, co powiedziałam? Masz się ukryć!



Ale Lazar umiał okazać siłę i zdecydowanie wtedy, kiedy człowiek najmniej się po nim tego spodziewał. Tak i teraz, narażony na agresję nieuleczalnego słowotoku Andjeli, odczekał, aż ten przyływ sam z siebie się cofnie. Nieruchomy na swoim stołku, oczyszczał się wywarem, usiłując wyglądać tak, jakby nie uczestniczył w sytuacji, którą sam spowodował.

Kaszłąc, odmówił przyjęcia jointa z mojej ręki, wypił jeszcze jeden łyk i uśmiechnął się.

- Cóż, właściwie nie wiem... - odpowiedział wreszcie. - Coś w tym jest. Może się zgłoszę.

Wyszedłem z nim w zadymiony dzień. Milcząc, pogrążyliśmy się w hałasie. Minął nas ślubny orszak z zarumienioną panną młodą w białej limuzynie. Gdzieś w dali wściekle walczyły stada psów. Pod pachami Lazara na szacie z pomarańczowej płachty pokazały się plamy potu, bo było niezwykle gorąco jak na koniec października. Leżliśmy w stronę bazaru.

Wśród jarzyn, kartofli, kwiatów i przeróżnych towarów w pchlej części porozumiewaliśmy się unikaniem wzroku.

W ten sposób, myślę, rozumieliśmy się lepiej, a owej chwili łączyło nas jeszcze coś: choćby Lazar mówił Bóg wie co, bał się wojny, wcale nie było mu wszystko jedno. Ale komu by mogło przyjść do głowy, że ja nie czułem strachu? Widziałem jasno, jak krąg wokół mnie się zacieśnia. Coraz więcej ludzi wciągał ten wir. Pewnego dnia, myślałem, zapukają i do moich drzwi, i kolana mi zadrzą jak tyle innych kolan w ciągu ostatnich miesięcy.

Tak oto okazałem się śmieszny w swej żalösnej niemocy, a nie wstydzilem się kpić z Lazara. Na wymagowanej wadze, tu, wśród kartofli, zważyłem perspektywę uczestniczenia w wojnie i tę drugą, perspektywę wojskowego więzienia za odmowę stawienia się i dezercję, czego dałoby się uniknąć tylko wyjeżdżając od razu za granicę. I natychmiast podjąłem decyzję, że nigdy już nie będę ironiczny wobec biednego, młodszego brata mojej żony, na którego z powodu rzucającej się w oczy fryzury i ubrania chłopci patrzyli podejrzliwie.

Porwany falą współczucia, usiłowałem pochwycić jego wzrok, żeby uśmiechnąć się do niego szczerze i przyjaźnie, żeby mu okazać życzliwość. Wzrok Lazara udało mi się pochwycić, ale w zamian nie otrzymałem niczego, co przypominałoby uśmiech. Błysnął tylko ku mnie przenikliwymi kocimi oczyma; niby to nie zrozumiał mojej nagłej potrzeby partnerstwa w zgrzyzocie, a naprawdę odpłacał mi pięknym za nadobne.

Nigdy nie przypominał świętego.

Jego świecka złośliwość sprawiła, że oprzytomniałem.

Dowlokłem się do bufetu z kanapkami przy samym wyjściu z bazaru.

- Chodźmy na kanapki - zaproponowałem i myślę, że

Lazar już wtedy przejrzał mój zamiar, bo nerwowo przełknął ślinę.

- Ja nie mogę, dziękuję, ale ty sobie nie odmawiaj.

Z dużego repertuaru, w tym cztery warianty wegetariańskie, wybrałem kanapkę z sałatką z wołowiną. I zaproponowałem kęs Lazarowi.

- Świetna wołowina - powiedziałem z pełnymi ustami.

Obrzydzenie Lazara było owego października moim duchowym pokarmem, choćbym miał skończyć tak, jak on twierdził, że mi sędzone.

Szkic o wykonawcach i rozkazodawcach

Kary zresztą nie ma, nie ma też nagrody. Nie istnieją wykroczenia ani zasługi. Wiedziałem to i wtedy, na bazarze, z podekscytowanym Lazarem u boku. Prawo natury jest zapisem, który odgadujemy tylko w części, Jezus Chrystus jest ofiarą własnej nieumiejętnej polityki, Bóg już wielokrotnie bezskutecznie poszukiwał nowego mesjasza, chcąc nam przekazać przesłanie: teraz oto możecie wszystko, wszystko jest wam dozwolone. Z punktu obserwacyjnego „Jugosławia, paźdz. 1991” ten frazes brzmi wstrząsająco, ale Swedenborg ma rację, kiedy mówi, iż Bóg nie osądza, bo On kocha wszystkich ludzi jednakowo, a człowiek wybiera jedno z wiecznych królestw, jako że sam jest przyczyną swego zbawienia albo swego upadku. Pośmiertna segregacja (jak i prawo natury zresztą) jest po prostu dążeniem do harmonii, najprzyjemniejszego ze wszystkich stanów. Samo prawo natury częściowo opiera się na segregacji, ale dopiero segregacja w Niebie jest absolutna. Niezwykle mocna błona dzieli dwa istniejące obozy i nie przeszkadza im. Jedni i drudzy lubią tę błonę. Jest im potrzebna, bo dla złych Niebo - tak samo jak dla dobrych

Piekło - to odrażające, zapowietrzane miejsce. Nie zostali do Dolnego Królestwa strąceni, lecz wbrew powszechnemu mniemaniu, a zgodnie ze swą prawdziwą naturą, której za życia może nawet nie przeczuwali, wybrali je. Na tym ugorze nie tęsknią za niczym, nie są narażeni - znowu wbrew ziemskim przesądom - na żadne tortury demonów, ponieważ sami są demonami, nie dążą też do Nieba, a z dawnych współbraci raczej się naśmiewają, niż im zazdroszczą. W królestwie intrygantów, morderców i polityków smażą się we własnym mrocznym zadowoleniu.

Z wszystkiego, o czym wyżej mowa, wynika, dlaczego od wczesnej młodości i pierwszego zetknięcia ze Swedenborgiem w takiej pogardzie miałem wszystkie te głupie idee o jedzeniu lub niejedzeniu sałatki z wołowiną, wieprzowego mięsa, o rezygnacji z alkoholu, narkotyków, dlaczego nie godziłem się, żeby wciągnęły mnie gorące problemy cywilizacji,

jak prawo do przerywania ciąży, moralna problematyka noszenia futer i skórzanego obuwia, sprawa granic swobody seksualnej czy efektu cieplarnianego, dlaczego pozwoliłem sobie nie wiedzieć, jak żegnają się prawosławni, a jak rzymscy katolicy, nie będąc nigdy przekonanym ateistą. To przez

Swedenborga obrzydł mi ten cały katalog rozmaitych dogmatów (oczywiście zalicza się do nich i ten, któremu Lazar tak naiwnie ofiarował całego siebie), mających za jedyny cel ukrycie przed nami wielkiej prawdy, którą Bóg, ze wszystkich sił walcząc, usiłuje nam podsunąć. Oto ta prawda, dla wszystkich prawdziwie wierzących: Istota wyboru dokonała się w nas poza nami, wcześniej, niż zostaliśmy poczęci. Wybór właściwie nie istnieje, ponieważ chodzi o czystą implantację. Czyż to nie wstrząsające i wspaniałe? W tym sensie wszyscy jesteśmy wykonawcami - niby seryjny morderca, który zabija, choć jednocześnie brzydzi się przemocą, jako że biedak nie jest niczym innym jak katem na służbie własnego zła - a wykonawcom wymierza się sprawiedliwość wtedy, kiedy rozkazodawca jest nieuchwytny. Gdy nasze prawo nauczy się wreszcie rozpoznawać rozkazodawcę w wykonawcy, jeśli okaże się to konieczne, i eliminować go, nie wyrządzając krzywdy wykonawcy, będzie się go traktowało z najgłębszym współczuciem, jak istotę opętaną, a nasze rozwinięte prawodawstwo doprowadzi nas do pozycji półbogów, i coś w tej wspaniałej równowadze runie. Ale na razie ciągle jeszcze jesteśmy od okiełznania tego prawa natury daleko. Równowaga Nieba i Piekła (według Swedenborga) jest stabilna.

Boję się, że osądzam zbyt surowo (zwłaszcza w świetle wydarzeń, na które czytelnik będzie musiał jeszcze trochę poczekać, a które tę książkę tworzą), toteż wyrażę to tylko w formie hipotezy: po naszym październikowym spotkaniu stało się bardziej niż jasne, że z siedmiu czy dziewięciu, czy iluś tam otworów w ciele Lazara tryska jakiś całkiem inny

Lazar. Zgodnie ze swymi przekonaniem powinien czuć atawistyczne obrzydzenie do wszelkiej walki zbrojnej, powinien powiedzieć z tym swoim uśmiechem: „Cóż, wołałbym nie brać w tym udziału...”, a nawet pójść i powtórzyć to zdanie przed jakąś komisją wojskową, jeśli taki organ w ogóle istnieje. Lazar jednak nic podobnego nie zrobił i powłoczka jego wiary - wiary, która przejawiała się w sztywnym radykalizmie - okazała się żałośnie cienka. Tuż pod nią krył się rozkazodawca, który zresztą powiedział w imieniu

Lazara: „Cóż, właściwie nie wiem... Coś w tym jest. Może się zgłoszę”, zafascynowany chłopięcym, przypominającym zabawę w kowboi i Indian wyobrażeniem serbsko-chorwackiej jatki. Jeżeli tak jest, myślałem, wracając z bazaru, to Lazar na froncie (pod naciskiem rozkazodawcy, który gdyby się tam znalazł, w pełni przejąłby nad nim kontrolę) bez większych problemów zastąpi tę swoją mieszankę ziół rakiją, cieciorkę

pieczenia z rozerwanego granatem slawońskiego wieprza; jeżeli tak jest, to Lazar odkryje siebie w którejś z namiętności proponowanych tam jako lokalne specjały, krzyknie z zachwytem (zamiast wyrzutów sumienia), kiedy pierwsza ofiara padnie od jego kuli, będzie Ardżuną w błocie i gnoju panońskiej Kurukszetry. I wtedy, wracając z bazaru, wciąż jeszcze z włóknem wołowiny między zębami, przestraszyłem się Lazara. Wszystko pasowało do mojej przerażającej teorii.

Przecież sam Lazar tylekroć nam to wykladał. Zgodnie z jego ulubioną tezą o gunach uczestnicy tych małych grabieżczych wojen należeli do grupy ludzkich duszyczek żyjących w głębokiej, niewybaczalnej niewiedzy. W myśl tej analogii czeka ich (tak jak i jego samego, ponieważ przysięgał na swoją cnotę, a postępował odwrotnie) krótkie, przemijające życie robaków, insektów, planktonu czy bakterii, tak krótkie, żeby tylko zdążono nauczyć ich rozumu\*.

Lazar, w któregośmy wierzyli (a który naprawdę nie istniał), ten Lazar na coś takiego nigdy by się nie zgodził. Ale może temu stuprocentowemu duchowemu wynalazcy odpowiadała taka wiara, aby łatwiej mu było spełnić plan rozkazodawcy, może, bez względu na położone zasługi, bardziej odpowiadało mu spokojne, harmonijne życie dmuchawca niż obiecane przyszłe istnienie w postaci komórki skóry

Kryszny?

Dlaczego boję się odwagi Andjeli

Jednak, prawdę mówiąc, wszystkie moje wnioski na temat

Lazara cechuje wyniosłość, skądinąd przywilej narratora.

W centrum wydarzeń, w październiku, Lazarowi nie dziwiłem się nawet w połowie takjakiego rodzicom. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego pani Vida i pan Mihajlo, których pomimo niekonsekwencji charakterów uważałem za ludzi rozsądnych, przyjęli powołanie, choć wtedy w tym kraju wszyscy bali się tego papierka tak, że nie wzięliby go do ręki za żadne skarby, a tym bardziej nie potwierdzili odbioru, co ci dwoje z zapałem uczynili. Andjela, wyprowadzona z równowagi, wściekła, nazwała ich kolaborantami. I miała rację. Nie było mi trudno wyobrazić sobie, jak podejmują doręczycieli powołania kawą - oni zawsze lubili występować w roli sympatycznego

\* A i tu pozostaje niejasne, jak bakteria może sobie pomóc, co takiego powinna zrobić, aby mogła mieć pewność, że przy następnym podziale przejdzie do wyższej formy istnienia. małżeństwa. To zaś, że kolaborantami zostali z głupoty, a nie z niskich pobudek, bynajmniej ich nie usprawiedliwiało.

Potem zaczął mnie dręczyć problem mojej żony. Co by

Andjela zrobiła w podobnej sytuacji, próbowałem odgadnąć. Czy błyskawicznie by się połapała? Ciekawiło mnie, jak by zareagowała. Ale możliwe odpowiedzi nie wróżyły nic dobrego. O ile znam moją żonę, wykorzystałaby tę ekstraokazję, żeby wykrzyczeć wszystko w twarz doręczycielom (tak jak parę miesięcy wcześniej, obrzmiła od ciąży, wdrapała się na zaimprovizowaną trybunę na którymś z wieców pokojowych i wygłosiła ognistą mowę polityczną, podczas gdy ja pełen niesmaku siedziałem w ogródku pobliskiej kafejki), a możliwe, że zatrasnęłaby im drzwi przed nosem.

Zgorszeni takim przejawem wrogości, prawdopodobnie by się wycofali, ale też wróciliby wkrótce - z posiłkami! A ja z góry obawiałem się takiej ewentualności i zadrzałem. Chciałem, jeśli w ogóle do spotkania dojdzie, stać się malutki, głęboko ukryty w swej ochronnej anonimowości. Może dzięki temu, miałem próżną nadzieję, zapomną o mnie albo mnie spiszą na straty - wszystko jest możliwe w kraju, który tak głęboko się pogрузzył. Nagle jednak opanowała mnie straszliwa panika.

Jeśli natychmiast nie zrobię czegoś, aby zapobiec nieustannej możliwości, że rozjuszona Andjela nadejście im na ponad wszelką miarę obolały odcisk, będę żył z nierozstrzygniętym, doprowadzającym do szaleństwa pytaniem: ile dobrego czeka mnie w przyszłości?

- Andjelo - zdecydowałem się więc wy badać jej ogólny nastrój, drząc przy tym z obawy, ale wydawało się, że ona tego nie dostrzega. - Andjelo, co byś zrobiła, gdyby, powiedzmy, przyszli po mnie, tak jak po Lazara?

- Myślę, że zatrasnęłabym im drzwi przed nosem - powiedziała Andjela szybko i niechętnie, po krótkiej chwili namysłu.

Pochłonięta programem w telewizji, nie dostrzegła, że za jej plecami tracę przytomność po przeżytych szoku.

Zasnęliśmy wcześniej tego wieczoru, przed telewizorem.

Migotał ku nam uprzejmy niebieskawy płomyk. Wzdłuż i wszerz wszystkich programów satelitarnych nasi gorliwie się zarzynali. Andjela objęła mnie nogą; chociaż zdążyłem już na dobre się ocknąć, a nawet umyć, ciągle jeszcze przetykałem wielkie grudy nagromadzonego strachu; jej udo było ciężkie, ale wsunęliśmy się jakoś pod jeden koc pachnący dziurawcem. Co mi pozostało poza bezgłośnym płaczem, w ciszy?

Głosy ze strumienia

Czasami wydawało mi się, że niewiele mam na usprawiedliwienie tak niegodnego postępowania. Zadawałem sobie wtedy pytanie: cóż to dla mnie jest wojna? Odkąd przywykłem do pełnoletności, żyłem w centrum długotrwałego

Armagedonu. Ludzie wokół mnie wciąż umierali, w najbardziej nieprawdopodobne sposoby, i ten proces w późnych latach osiemdziesiątych i wczesnych dziewięćdziesiątych tak się nasilił, że za nic nie mogłem ułożyć w myślach niezbędnej, choć ponurej statystyki umarłych, bo stale otaczała nas cała armia potencjalnych aniołów\*.

Nie było nawet czasu na żal po wszystkich, którzy odeszli - taki, najaki może zasłużyli. Zbyt często nie mijał nawet miesiąc od ostatniej śmierci, gdy nowa ofiara przefruwała nad naszymi głowami i znikwała na zawsze. Kiedyś byłem laikiem, ale te coraz częstsze śmierci uczyniły mnie ekspertem od wszelkiego rodzaju pogrzebów. Akurat zacząłem się martwić, że od tego

\* Zob. Dodatek. Załącznik nr 1. Kompilacja śmierci, 1989,1990,1991. wszystkiego przedwcześnie stępieję, kiedy wybuchła wojna w Chorwacji i obdarzyła mnie cennym, choć mglistym odkryciem: wszystkie pojedyncze śmierci, ogólnie biorąc, stanowiły tylko (prywatną) uverturę do (publicznej) klasycznie krwawej tragedii, której tematem, jak w każdej prawdziwej tragedii, była wojna między narodami. Paskudne w całej sprawie było to, że w czasie, o którym piszę, wojna dopiero się zaczynała, ściślej, znajdowaliśmy się w momencie pracy nad pierwszym aktem, a już mieliśmy dość wszystkiego. Przeszkadzał nam brak niezbędnej konwencji. Mieliśmy próżną nadzieję, że może wkrótce kurtyna opadnie, tęskniliśmy za szczęśliwym zakończeniem, ale wiedzieliśmy, że deus ex machina nie zstąpi tak szybko ze swego mechanicznego obłoku, aby pogodzić zwaśnionych i równo podzielić sprawiedliwość. Było to bardzo niepokojące: jeszcze się napatrzymy śmierci. Zżyjemy się z nią w końcu. Stanie się dla nas nudna. Nie będziemy się jej bali, tak jak nie baliśmy się w błogosławionej erze naiwności.

Ale wszystko to jest jak w telewizji. Prawdziwy świat nigdy nie oferował gwarancji ostatecznego wniosku. Prawda, że wojennych przypadków śmierci w październiku 1991 roku nawet w przybliżeniu nie było tyle, ile pokojowych (tylko jedna bliska mi osoba do tej pory zginęła na wojnie), ale wojna nie trwała nawet w przybliżeniu tak długo jak błogosławieństwo pokoju.

Człowiek, który wypadł z gry przedwcześnie, nazywał się

Ivan. W jego towarzystwie przewagarowałem całe dwa lata szkoły średniej. Lubiałem go, ale nie aż tak, żeby się nim interesować później, kiedy jakoś dojrzałem do końca męczącej edukacji, a on musiał powtarzać czwartą klasę. I oto dwanaście lat po ostatniej

wspólnie spędzonej chwili Ivan musiał się czuć oszukany, kiedy - w trakcie rannego sikania w samotnym gospodarstwie gdzieś koło Erdutu i sennych rozmyślań, co zrobić z dwustu słoikami papryki, które ukradł gospodarzowi Węgrowi - zaskoczył go wybuch. Mówię to, bo jestem pewien, że przewidywał dla siebie nieco dłuższą rolę niż ta, jaką odegrał. A tak, po wielkim finale, Ivana nie zostało nawet najeden z dwustu słoików, które zamierzał spieniężyć.

Jeśli chodzi o Dejana, rzecz przedstawiała się trochę smutniej, bo naprawdę go lubiłem. Razem trenowaliśmy pływanie i już wtedy częste, monotonne treningi go męczyły. Pływał na życzenie ojca, a marzył, żeby zostać perkusistą. Parę lat później (był już za stary na debiutanta) grał w zespole, który nazywał się GSG-9, tak jak elitarna zachodnioniemiecka antyterrorystyczna grupa komandosów. GSG-9 w owym czasie wyglądali wspaniale, nadzy do pasa, wydepilowani, spoceni i poważni, otoczeni komputerami, w światłach stroboskopowych, i gdy dwa takie typy samplowały komunikaty o masowym umieraniu oraz wielkich katastrofach, Wagnera, Strawińskiego i odgłosy bombardowania miasta, ogolony do gołej czaszki Dejan bił w swój zestaw bębnow, stojąc, jakby wymierzał mu karę. GSG-9 mimo nazwy nie do wymówienia byli straszliwie ambitni - Dejan był ich siłą napędową, a ze wszystkich ludzi, których znałem, tylko on serio zamierzał zrobić coś ze swoim życiem. Od ćwiczenia dłonie miał całe w pęcherzach, nie mógłby już złożyć odcisków palców, bo opuszki miał zupełnie gładkie. Potem nagrali płytę u pewnego niezależnego wydawcy z Mariboru, a ich koncerty z czasem stawały się coraz bardziej popularne. W Belgradzie, Lublanie, Zagrzebiu, Skopiu, Trieście, Wiedniu, w ogóle wszędzie, gdzie grali, publiczność GSG-9 stanowiły przeważnie chude miastowe dziewczyny w martensach, takie, co to zawsze wpadają w trans po za dużych dawkach tabletek uspokajających.

Wszystko to oczywiście zostało brutalnie przerwane i w ciągu późnego lata i wczesnej jesieni roku 1991 przeszło do nieodżałowanej przeszłości, a Dejan próbował pożegnać się z prawą ręką. Kiedy odwiedziłem go w szpitalu Wojskowej

Akademii Medycznej, gdzie mu tę rękę amputowano, wymachiwał drugą. Grzaliśmy w we, a potem dowlekliśmy się z powrotem do jego sali. Dejan wyciągnął się na łóżku.

Włączył radio, ale natychmiast je zgasił, dlaczegoś czerwieniejąc. Przyciągnąłem wyściełane krzesło do wezglowia jego łóżka i usiadłem. Rozmawialiśmy, przeważnie o głupstwach.

Przypomniał sobie moją czerwoną koszulkę z ogromną białą pięcioramienną gwiazdą na piersiach i napisem „Brigade

Rose”, której mimo ponawianych przez kilka lat nachalnych propozycji nie chciałem mu sprzedać, bo sam ją dostałem w prezencie. Miałem wrażenie, że jest mu bez ręki bardzo

nieprzyjemnie. Zachowywał się tak, jakby zniecierpliwienie znalazł się goły na przyjęciu. Cały czas podciągał koc po szyję, twierdząc, że mu zimno. Ale wciąż, zupełnie bez jego woli, pozostała ręka wyskakiwała spod przykrycia, dziko gestykułując.

- Nie powinienem pozwolić ci grzać - zażartowałem na siłę, bo naprawdę nie powinienem.

Ciągle jeszcze pamiętam coś, co bardzo mnie poruszyło:

Dejan podczas całej tej wizyty miał nadzieję, że kiedy wyjdzie, na dworze będzie go czekało prawdziwe słońce, które obserwował przez okno.

- Chyba poczeka - powiedziałem głupio i wzruszyłem ramionami.

Pocieszałem się, że Dejan i bez moich pouczeń zdoła zrozumieć, co go naprawdę czeka: kupy bałkańskiego błota, nadchodzący listopad, spojrzenia pełne współczucia oraz nostalgiczne spotkania z ulicami pewnej zrobionej w konia stolicy.

I to właściwie wszystko. Prawdę mówiąc, było wtedy jeszcze trzech innych, ale o nich nie miałem informacji. Kiedy oni tam ginęli, sikając, kiedy zostawali bez kończyn, kiedy się zmagali z koszmarem, ja dusiłem się w codziennej rutynie i zdarzało mi się przez cały dzień o nich nie pomyśleć.

Czasami chciałem zadzwonić do ich rodziców, dziewczyn albo żon, ale słuchawkę brałem do ręki niechętnie, jak meduzę, i natychmiast odkładałem. Wszystko to, wyrażone nieco subtelniej, miało następujący sens: krępowałem się.

Zastanawiałem się, co nas łączyło. Może, myślałem, nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy, jak nam się z tej czy owej przyczyny wydawało?

Chcę powiedzieć, że sprawy miały się paskudnie, ale nie aż tak, żeby nie mogło być znacznie gorzej. Wojna w tamtym czasie nie rzuciła nam jeszcze ludzkich kiszek w twarz, miażdżyła nas mądrzej. Telefon już wtedy zbyt często milczał, a kiedyś nie dawał nam żyć. Większość naszych przyjaciół była daleko, poza granicami kraju. Pochłonięci męczącym procesem rozpoczynania finansowej samodzielności i gorączkowymi zabiegami, żeby się nie stoczyć, gdzie i kiedy nie trzeba, nie mieli telefonów albo wolnego czasu, albo po prostu pieniędzy - w każdym razie dzwonili rzadko.

Czasami docierała do nas jakaś widokówka z Budapesztu, Pragi, Kopenhagi, Casablanki, Aten, Amsterdamu, Londynu, ze wszystkich tych wspaniałych miejsc; te pocztówki naprawdę sprawiały nam przyjemność, ale mimo to trudno było się oprzeć wrażeniu, że wszystkie napisała jedna osoba.



Białą stronę wypełniały blahe bazgroły alfabetem łacińskim, a i słowa były jakoś podobne jedne do drugich, niezależnie od warunków lokalnych: „nie mam pracy”, „coś tam robię”, „jest ciężko”, „u mnie OK”, „radzę sobie” itd., itd.\*.

W tym czasie wielu przysięgało, że nie uciekli przed wojną. Niektórzy twierdzili, że ich wyjazd nie ma z nią nic wspólnego, wyjechali, bo im się tak zachciało. Odpowiadałem im w myślach: „Może nie zachciałoby się wam wyjeżdżać, gdyby tutaj sprawy miały się inaczej”.

\* Zob. Dodatek. Załącznik nr 2. Kronika ucieczek, 1990,1991.

- Widzisz różnicę - powiedziała mi raz Andjela - kiedyś umierali, a teraz wyjeżdżają...

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Umierali, to prawda, w ostatnich czasach mniej. Ale istotnej różnicy nie było. Co piętnaście dni odprowadzaliśmy kogoś na cmentarz i wkrótce przestawaliśmy ich wszystkich żałować. W ogóle rok 1991 obdarzył nas specyficzną aktywnością: wymyślaliśmy sobie nowych przyjaciół albo przyjaźniliśmy się z przyjaciółmi naszych - teraz zagranicznych - przyjaciół, a czasem wracaliśmy do dawnych znajomości. Niekiedy wszystko to miało sens - nie odróżnialiśmy już prawdziwej chęci od przystosowania, którą to sztukę opanowaliśmy w wysokim stopniu. Uczyliśmy się przez ten cały rok nowego rodzaju tolerancji społecznej i opanowaliśmy ją: ci, o których dawniej nie dbaliśmy, stali się dla nas miłymi gośćmi. Ścigaliśmy się, kiedy zadzwonił telefon, i ja byłem szybszy od Andjeli, zwłaszcza jesienią, kiedy utyla, piersi jej urosły, a brzuch wciąż jej zawadzał, biegła więc, kołysząc się niezdarnie.

Mógłbym otulić się niby warstwami skóry (której nigdy za dużo) rozmyślaniami o tych, których nie ma, ale - oto pewne grupowe zdjęcie. W marcu tego roku odbywały się jakieś bezsensowne demonstracje i wielu ludzi wspomnianych w tej książce, i wielu jeszcze podobnych do nas, cały tłum, wszyscy przez kolejne wieczory staliśmy stłoczeni jak sardynki w sercu miasta pod żółtymi latarniami na Terazijach.

Jakże byliśmy głupi i śmieszni! Wznosiliśmy okrzyki, oburzaliśmy się, a strzeliliśmy w ostatecznym rozrachunku więcej goli do własnej niż do cudzej bramki. Oto, co nas spotkało zaledwie parę miesięcy później. Niektórzy z nas jeszcze tej jesieni dumnie patrzyli z niebieskich klepsydr krzywo naklejonych na słupy, niektórzy szli na długie leczenie do

Rudo\*, niektórzy pisali pocztówki z zagranicy, niektórzy tymi pocztówkami cieszyli się jak dzieci... Pytam więc, po co przez tyle dni traciliśmy na tym placu czas, skoro pozwolono, aby nas to spotkało? Już jesienią trudno nam było zrozumieć, czy w ogóle

istniejemy, czy nie; tylko parę miesięcy trwało wykańczanie nas; zostaliśmy załatwieni blitzkriegiem ciosów poniżej pasa. W październiku, o którym piszę w marcu, który był wtedy przede mną, w połowie drogi, czułem strach większy niż obrzydzenie w marcu, który został za nami. Bałem się, że w tym przyszłym marcu zobaczę nas na nieudanym zdjęciu, którego nikt z nas nie chciał, że między nami będą ziały straszne wyrwy, że między nimi będzie nas przerażająco mało, że nie będziemy wiedzieli, co sobie nawzajem powiedzieć, będziemy się więc przechadzać po tym miejscu pozbawionym sensu, skoro się już tam znaleźliśmy, prosząc

Boga, aby nas rozpędzono jak najszybciej i najbezboleśniej, jakąś burzą, brutalnymi spojrzzeniami, wyzwiskami, armatką wodną, gumowymi pałkami.

Nawet teraz nie umiem powiedzieć, co nas spotkało, ale jestem niemal pewien, że spełniło się jakieś fatum, o którym wszyscy zdążyli zapomnieć. Cóż, bywa i tak. Bo coś krzyknęło, w okamgnieniu uformowało strumień i porwało nas. Było to równe biblijnemu doznaniu. Z tego wiru, przypominającego wzburzoną rzekę, tylko od czasu do czasu na powierzchnię wynurzała się jakaś głowa, jakaś bezsilna kończyna wyprężała się, żeby delikatnie kopnąć nabrzmiałe pośladki nieba, oczy pełne wody chwyciły widoki z każdym dniem coraz dalsze, ręce unosiły się niby niezwykle istoty, żeby złapać coś, co nigdy nie istniało. Było nas z każdą chwilą coraz mniej w tym

\* W Jugosławii niebieskie klepsydry oznaczają, że zmarły był żołnierzem, a na klepsydrach umieszcza się fotografie; Rudo to ośrodek rehabilitacyjny dla inwalidów w Belgradzie (przyp. tłum.). wirze, a wszyscy deklamowaliśmy podnieconymi głosami coś o pianie, w którą człowiek się zapada, która nie daje oparcia, w której potyka się w groteskowy sposób, którą nie można się najeść, ugasić pragnienia, która niczemu nie służy, nie ma smaku i zapachu, jest fałszywa i złudna, i niszczy bliskie, zwyczajne rzeczy. Nie słuchając się nawzajem, pletliśmy o nieuchwytniej lawie, która zalewa i niweluje. Mówiliśmy o topliwości, o dezintegracji, o ostatnich chwilach chorego świata - nosiciela kolonii żarłocznych wirusów. Nasze słowa były różne, doświadczenia przeciwstawne, ale jakie to miało znaczenie? Piana, w której tonęliśmy, i tak wszystko to rozłoży, wymiesza, pochłonie. Na koniec z całego tego straszego bólu i cierpienia zostanie w powietrzu tylko jeden niezbyt wielki bąbel, a potem i on pęknie.

## II. LISTOPAD 1991

Moja żona kompan-diler - Lazar nie żartował, nie żartuje też

Andjela - O miesiącu umierania - jak na nowo pokochałem

Dejana - Kuzynka i mój upadek absolutny, z którego podniosę się pozbawiony złudzeń - O ojcu i matce

## Moja żona kompan-diler

Andjela i ja poznaliśmy się przez Petara. Logika budowania naszego związku jest jednak nieco bardziej złożona i wspaniała. Wszyscy przyjaciele Andjeli w tamtym okresie byli w istocie przyjaciółmi człowieka, z którym chodziła, a który już od pewnego czasu znajdował się w więzieniu w Szwajcarii. Nie była to grupa groźnych przestępców, lecz belgradzcy dilerzy, większość z nich studiowała, a niektórzy już pracowali w powszechnie szanowanych zawodach.

Wszyscy moi przyjaciele natomiast korzystali z ich usług, wśród nich Petar. Spędzali całe godziny na placach, w tłoku, przytupując, ściskając pieniądze w kieszeni, czekając, aż pojawi się zgodnie z umową któryś z przyjaciół Andjeli. Oni zaś rozkoszowali się niepowtarzalnym przywilejem dilerów i nonszalancko, bez usprawiedliwienia, spóźniali się o dobre pół godziny lub więcej albo nie pojawiali się wcale, jeśli im się tak podobało. Byli panami towaru, którym handlowali, podczas gdy moi przyjaciele byli jego niewolnikami. Z pokorą przychodzili na umówione spotkanie dziesięć czy piętnaście minut wcześniej, gotowi czekać, w wiecznym lęku, że akurat tym razem mógłby się zdarzyć precedens i diler zjawiłby się punktualnie. W takim wypadku (w malowniczych rojeniach moich przyjaciół), zobaczywszy, że klienta nie ma w ustalonym miejscu, diler zwyczajnie by poszedł, a klient popadł w wieczną niełaskę. Oczywiście wszystko to było głupotą, bo diler po prostu nie może przyjść na czas, takie są układy. Nic się na to nie poradzi.

Z czasem Andjela nauczyła się wielu zasad działalności swoich przyjaciół (czyli przyjaciół pewnego więźnia, o którym myślała coraz mniej) i postanowiła sama ruszyć do akcji. Trochę podbierała im klientów, bo była nowatorką: nie spóźniała się, przynajmniej nie za dużo, i postępowała przyzwoicie. Przyjaciele Andjeli szpikowali heroinę byle czym i w cynicznych ilościach. Andjela co prawda oszukiwała na wadze, ale to, co sprzedawała, było czyste i dobre.

W odróżnieniu od Andjeli, która okazała się wyjątkową uczennicą, ja mimo licznych pokus nie nauczyłem się mniej opłacalnego zajęcia moich przyjaciół. Wstawałem wcześniej i co rano ze swego mieszkania na Molerovej potulnie jechałem tramwajem, potem autobusem, do biura na Banovym brdzie, cierpiałem na niestrawność i zapalenie przewodu pokarmowego, w wolnych chwilach przyjmowałem gości, grzałem i pisałem, w pracy wydawałem zlecenia, wypisywałem faktury pro forma, wyprowadzałem salda, walczyłem z przelewami, z poczuciem, że jest mi absolutnie wszystko jedno. Andjela mieszkała z rodzicami i bratem w trzech pokojach w Nowym Belgradzie, gdzie nie lubiła przebywać.

Miała aż za dużo czasu do dyspozycji i mnóstwo pieniędzy, zarobionych w sposób w pewnym sensie uczciwy. Prawda, Andjela zajmowała się wysoce karalnym handlem (który nie odbywa się za pośrednictwem banku, ale ma swoje twarde reguły i strukturę realnego rynku, chociaż dochody z niego wyolbrzymia się w porównaniu z handlem oficjalnym), była jednak solidniejszym pracownikiem ode mnie. Ja swoją robotę odbębniałem, ona swoją starała się doskonalić. Była chyba jedynym dilerem w mieście udzielającym tygodniowego kredytu. Intuicyjnie rozumiała, że będzie najlepiej, jeśli pozwoli na to wszystkim swoim klientom (zawsze, rzecz jasna, nazywając to wyjątkiem), i za tę dobroć odpłacano jej eleganckimi gestami głębokiej przyjaźni.

Kiedy po pracy spotykaliśmy się w mieście albo u mnie na Molerovej, szczerze częstowała mnie heroiną i trawą, haszem i koką - wszystko to miała w ogromnych ilościach.

Nagrzany, opowiadałem jej o kolegach z pracy, zbiorowisku wesołych, niezamężnych dziewczyn, źle uczesanych i grubych, mówiłem o ich macierzyńskich kolanach, których krągłą doskonałość podziwiałem głośno, a wady tych dziewczyn idealizowałem w długich toksycznych monologach tak bardzo, że czasami, jeśli euforia wykatapultowała mnie za wysoko, zdawało mi się, że wystarczyłoby istnieć w postaci ich intymnej gąbki, podpaski lub tamponu: a więc istnieć jako środek pomocniczy, z którym przyjaźń zawiera się w samotności i który się po zużyciu wyrzuca.

Andjela, jeśli w ogóle udawało się jej utrzymać prosto głowę, która zbyt często opadała, lubowała się w moich opowieściach przynajmniej w tym samym stopniu, w jakim ja uwielbiałem przestawać z takimi dziewczynami. Z otchłani, w której się spotykaliśmy (choć pochodzimy z jej przeciwnych brzegów - pod tym względem jesteśmy żywym wcieleniem mitu o wielkich kochankach świata), widziałem te dziewczyny, uczciwe, serdeczne i skromne, wiecznie uśmiechnięte, jako coś w rodzaju aniołków z trąbami i skrzypcami, owych dekoracyjnych istot, które zdobią rogi retuszowanych fotografii ze scenami z jakiegoś dawno poźółkłego dzieciństwa.

Oczywiście Andjela też miała swój wielki temat. Leniwym tonem mówiła o „narzeczonym”, siedzącym w więzieniu stosunkowo daleko stąd aż do roku 1995, wskutek czego jego pozycja w wewnętrznym systemie wartości Andjeli (który rozumiałem lepiej niż ktokolwiek inny) gwałtownie się zmieniała. Niezwykłe jest jednak, że Andjela w sposobie, w jaki opowiadała swoje anegdoty, przywoływała greckie metody narracji. Charakter jej bohater miał zwichrowany.

Z wszystkimi przeciwnościami walczył na pozór obojętnie, a naprawdę jego czynami kierowała wola najwyższej opatrności. Chociaż mówiła o nim często, nigdy nie wychynęła

na powierzchnię żadna informacja, która pozwoliłaby mi jako tako go sobie wyobrazić, nic więc dziwnego, że prawdziwy strach przed owym tymczasowo zamrożonym cieniem nad naszym związkiem dopadł mnie właśnie na ślubie. Stało się to, kiedy obserwowałem, jak Andjela, zachwycająca w krótkiej sukni ślubnej koloru pudru, tańczy weselnego walca z moim ojcem. Co powie ten brutal, pomyślałem, kiedy zahartowany wieloletnim więzieniem, wściekły i silny zjawi się tu w odległym roku 1995, żeby zgłosić nieodwołalne prawo samca do Andjeli, a zastanie ją z innym mężczyzną (ze mną!), którego dziecko w tym odległym roku (a jak się okazało, o wiele wcześniej) będzie oczywiście miała. Tej samej nocy, pośrodku zabawy, którą urządziliśmy dla przyjaciół na

Molerovej, przedstawiłem swoje lęki Andjeli, a ona słodko się do mnie uśmiechnęła w ekstazie po koce i szampanie.

- Przecież jest o tyle niższy od ciebie... - powiedziała, i była to premiera opisu owego międzynarodowego przestępcy - i... i bardzo sympatyczny. Spodobałby ci się, a i ty jemu, pewna jestem. Lubicie tę samą muzykę, on też dużo czyta, tak jak ty, myślę, że nie skrzywdziłby muchy.

W ten sposób sprawy między nami się ułożyły. Spędziliśmy miodowy miesiąc w Rzymie, a potem Andjela w wielkim stylu wprowadziła się do mnie razem ze swoim kotem Faraonem, na rozstanie z którym jej rodzice tęsknie czekali.

Dzień po przeprowadzce Andjela zdobyła się na istny wyczyn. Z poświęceniem osób wiernych do grobowej deski swojej diecie lub kuracji przestała używać wszelkiego rodzaju środków odurzających, aby oczyścić organizm przed czekającą ciążą. Nie sędzę, bym mógł kiedykolwiek zapomnieć piekło pierwszych tygodni. Andjela pociła się, nie była w stanie usiedzieć na miejscu, trzaskała drzwiami o każdą drobnostkę, bez wyraźnej przyczyny biegała za Faraonem z kapciem w rękę po całym domu, skarżyła się na łamanie w kościach, nudności i bóle stawów, ale nie rezygnowała. Tylko na śniadanie, obiad i kolację łykała bensedin\*. No i jaraliśmy, od świtu do nocy. Moi przyjaciele, klienci Andjeli, okazali się istnymi potworami. Oblegali nasze mieszkanie, ponieważ po kontaktach z Andjelą nie mieli ochoty wracać w szpony jej przyjaciół; byliśmy pewni, że oblężenie odbywało się według szczegółowo opracowanego planu, bo dosłownie nie dawali nam spokoju, a kiedy w końcu przekonali się, że ich wysiłki są daremne, w rozpaczy znieawidzili - mnie. Twierdzili, że to ja ponoszę odpowiedzialność za decyzję Andjeli, żeby zrobić ze sobą porządek, decyzję, która stała się przyczyną zerwania wszystkich zawodowych kontaktów. Tymczasem Andjela nie zwracała na nich najmniejszej uwagi, jak również na fakt, że pozbawieni jej regularnych dochodów, coraz częściej byliśmy bez grosza. Oczyszczała się cały rok i jakoś mi się zdaje, że zaszła w

ciężę od pierwszego razu, kiedy pozwoliła mi się spuścić prosto w nią. Gdy pełnym zachwytu głosem poinformowała mnie o tym, nie buntowałem się. Pragnąłem potomka, a jeśli chodzi o Andjelę, wszystkie jej posunięcia wskazywały, że ma szczerą wolę wyjścia naprzeciw swej prawdziwej naturze, że chce stać się tym, czym zawsze być pragnęła - gospodynią domową.

\* Popularne w Jugosławii tabletki uspokajające, których zużycie w okresie ostatnich wojen znacznie wzrosło (przyp. tłum.).

Lazar nie żartował, nie żartuje też Andjela

Lazar długo nie należał do rosnącej kolekcji naszych codziennych tematów. Dopiero kiedy Andjela przeniosła się do mnie, postanowił nam się narzucić i w ten sposób stać się stałą częścią naszej małżeńskiej rutyny. Jego sobotnie wizyty przywodziły na myśl działania charytatywne; odwiedzał nas tak, jak aktor-legenda odwiedza zdziesiątego przyjaciela z dzieciństwa w domu starców, jakby ze zwykłej przyzwoitości wypełniał czas przeznaczony dla niego, chociaż tamten sam opłacił rezerwację. Po trzech, czterech niezapowiedzianych wizytach zawsze o tej samej porze, tego samego dnia, wyrobił w nas coś w rodzaju odruchu warunkowego, jeśli więc jedno z nas zaproponowało inne zajęcie na sobotnie przedpołudnie, drugie reagowało nie bez pewnego zadowolenia: „Jak to? A Lazar?”. Baliśmy się, że nasza nieobecność mogłaby go dotknąć.

Pozorna kruchość Lazara zastępowała urok, którego mu brakowało. Andjela była szczególnie wrażliwa na tę kruchość.

- Nie wiesz, co to znaczy być starszą siostrą - powiedziała mi kiedyś tragicznym tonem, a mnie to rozśmieszyło.

Ale wkrótce okazało się, że naprawdę nie wiem. Jej wzmożone poczucie odpowiedzialności za Lazara datowało się od chwili jego urodzenia, kiedy miała cztery lata. Od małego wzięła na siebie ciężkie zadanie: postanowiła być mu przewodnikiem po nieprzetartych ścieżkach dorastania. Stał za tym świadomy zamiar, oręż czystej nienawiści - aby jedyne życie podporządkowane jej życiu zmienić w nieznośne swędzenie. Nawet po tych zwierzeniach wcale nie było dla mnie jasne, skąd taka maleńka istota mogła dokładnie wiedzieć, co zrobić z drugą, jeszcze mniejszą! W dodatku, bez względu na motywy, które i tak nie wykraczały poza klasyczną zazdrość pierwszego dziecka o drugie, wychodzi na to, że wcale nie jest tak łatwo kogoś zwichrować zaraz na starcie. Według Andjeli, szarpanej coraz częstszymi wyrzutami sumienia i palącego wstydu, dwoistość takiego stosunku była straszna. Chociaż z niejasnych pobudek, które z upływem lat przekształcały się w nawyk, męczyła go i dręczyła, pamiętała też, że bardzo go kocha, aczkolwiek i to starała się wyrazić poprzez

całkiem odmienne, typowo siostrzane reakcje - zarzuty i zmyślenia skarżypyty, kłamstwa i oszczerstwa, lekceważenie i intrygi.

Kształtując go swobodnie niby grudek plasteliny (a szczypała go, kiedy był jeszcze w kołysce, trącała, kiedy uczył się chodzić, waliła szczotką do włosów w pięty, kiedy rodziców nie było w pobliżu, później wpychała jego biedną piegowatą głowę do miski z lodowatą wodą, rzucała w niego nożem do chleba w udawanych atakach nieuzasadnionej niczym wściekłości, podstawiała mu nogę w miejscach, w których upadek mógł się okazać fatalny, namawiała, żeby wetknął matczyne druty do robótek w kontakt, żeby położył rękę na rozgrzanej płytce kuchenki elektrycznej, żeby wpychał sobie do uszu i nosa ziarenka grochu i fasoli, żeby skoczył z dachu garażu ojca na kupę żwiru i kawałków cegieł), nie spodziewała się od razu ujrzeć rezultatów. Została nimi nagrodzona po jakichś piętnastu latach wysiłku, kiedy Lazar pewnego dnia, ku ogólnemu zdumieniu - bo tylko Andjela znała sensowne wytłumaczenie - nagle rzucił szkołę i postanowił poddać ciało rozmaitym próbom. Robił to żywiołowo, bezjasno określonego celu, w gorączkowym poszukiwaniu odpowiadającej mu ideologii. Z tego okresu zostały mu na piersiach blizny po cięciach żyłką, blade ręce na zawsze miał oszpecone ciemnymi bliznami po gaszonych papierosach. Ale jak to bywa, ktoś się zjawiał i ofiarował mu możliwość działania. Lazar został postawiony przed pierwszym zadaniem, które można ująć w słowa mniej więcej tak: Cieleśny worek żółci, śliny i powietrza odrzucić całkowicie, aby wewnątrz poczęło się Jajo nowego Lazara.

Wtedy już Andjela mogła się spokojnie wycofać i zająć łagodnie ironiczną postawę. Następną fazą jej pigmaliońskich działań, mimo coraz częstszych wątpliwości co do rezultatów, polegała na nieustannym bombardowaniu uwagami i obelgami, niewielkich poprawkach i polerowaniu wszystkich, ewentualnie jeszcze istniejących drobinek pewności siebie, której obiekt miał tylko okruchy, na co biedny, powierzchniowy Lazar-wykonawca wzdygał się i dąsał, ale te działania niewiele go obchodziły. Skryty głęboko wewnątrz, niewidoczny dla wielu, ale nie dla podświadomości Andjeli, Lazar-rozkazodawca czuł się wspaniale - każda jej akcja była dla niego pokarmem i dodawała mu siłę.

- Ale po co ci to było? - spytałem zdumiony, a Andjela spojrzała na mnie jak na wroga zwierzę i wybuchnęła płaczem.

Znowu to samo: co ja o tym wszystkim wiem? Może, zwierając mi się, nadawała swoim postępkom zbyt dużą wagę, w świetle wydarzeń, które przedstawię nieco później. Płakała często i czasami wątpilem w szczerość jej łez - wydawały mi się krokodyle. Ale niekiedy jej ból był przekonujący, niekiedy płakałem z nią z solidarności. Rozpoznawałem

wszystko, co dobre w mojej żonie - przecież to kobieta, którą kocham - przesuwałem palcami po jej włosach, a w głębi

Andjeli pływał wtedy pewien kosmonauta, gotów opuścić macierzysty statek: nasz syn. Jej bólem jednak należało się zająć wcześniej, w porę, a nie wtedy, kiedy było już po wszystkim. Należało go zanalizować w chwili, kiedy zamiast tradycyjnego sobotniego Lazara z kosmykiem i książkami pod pachą dostaliśmy telegram, w którym informował nas o swojej ostatecznej decyzji, że jednak zgłosi się do wojska, jeszcze raz motywując to raczej karmą niż własną chęcią.

Andjela, czytając krótki tekst kilka razy, gładziła brzuch otwartą dłonią.

- Chce mi się hery - powiedziała ugodowo, z cichutkim westchnieniem (wspomniawszy pierwszy raz, odkąd mieszkaliśmy razem, o heroinie), ale kiedy odkładała złożony telegram na stół, ręka jej mimowiednie zadrżała.

- Może zmienił zamiar? - podsunąłem nieprzekonującą opcję w braku lepszej, co skierowało całą negatywną energię, jaka nagromadziła się w Andjeli, przeciwko mnie. Po poważnej kłótni i wzajemnych oskarżeniach omal nie spędziliśmy następnych kilku dni w pełnym urazy milczeniu i unikaniu się nawzajem; rozbroiły nas pogodne, słoneczne popołudnia.

Pewnego takiego popołudnia odwiedziliśmy rodziców

Andjeli. Byli uprzejmi, jak zawsze. Zachowywali się tak, jakby się nic niezwykłego nie działo - przypuszczam, że mieli najlepsze zamiary i nie chcieli testować dobrze im znanego temperamentu córki, ale ich podejście było z gruntu błędne, bo właśnie ta pozorna obojętność drażniła Andjelę. Poza tym była im winna awanturę za przyjęcie powołania do wojska dla

Lazara, a rodzice nie oczekiwali niczego innego, bo zyskane doświadczenie oddzielnego życia podszeptowało im, że córka odwiedza ich przeważnie wtedy, kiedy chce się z nimi pokłócić. Toteż gdy Andjela spokojnym głosem poruszyła temat wyjazdu Lazara na front, mnie przeszły ciarki, ale trzeba było widzieć Vidę i Mihajła: napięci, gotowi i straszliwie stremowani, przypominali maratończyków na starcie. Najpierw zgodnie, w krótkich zdaniach, odrzucali oskarżenia, starając się jej nie prowokować, a przy okazji zapewniali sobie nawzajem tymi krzyżowymi odpowiedziami chwilę oddechu na zebranie myśli. Widziałem już takie starcia kilka razy i czasem naprawdę bywały komiczne, chociaż z reguły kończyły się poważnymi rodzinnymi tragediami, które jednak nie trwały długo. Oni po



prostu nie brali sobie tego wszystkiego do serca. Ale było to naprawdę wspaniałe doświadczenie: znaleźć się jeszcze raz w środku wybuchu, słyszeć, jak Andjela wrzeszczy:

- Brzydzę się wami! Brzydzę się! Zawsze nienawidziliście Lazara, zawsze nienawidziliście mnie! Kiedy pomogliście nam w czymkolwiek? - I tak dalej, i dalej, jak Vida na próżno stara się ją przekrzyczeć:

- O co chodzi? Czego chcesz? Jak ci nie wstyd! Przyjęłam, podpisałam. I co z tego? Co to ma wspólnego z tobą? Zresztą

Lazar powiedział, żebym podpisała, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, bo stale jestem w domu, a jego nigdy nie ma! Właśnie tak! Skąd wiesz, co ja o tym wszystkim myślę? Wstydz się!, a Mihajlo jednocześnie zwraca się do mnie:

- Słuchaj no, to nie żarty. Tutaj, dwa domy dalej, dwóch chłopaków z trzeciego piętra wsadzili do więzienia za uchylanie się od służby wojskowej. Co wy sobie myślicie, dzieci?

Zazwyczaj w takich kłótniach istnieje przełomowy moment, skutek błędu w pewnej skądinąd obronie Mihajla i Vidy. Tym razem błąd popełniła Vida, która lekkomyślnie przyznała, że nie wie, gdzie Lazar jest na froncie, i niefortunnie dodała, gdy Mihajlo próbował uciszyć ją wzrokiem:

- Obiecał, że napisze.

Chociaż w tym samym momencie ugryzła się w język, Andjela nie przepuściła okazji i ruszyła do brutalnego ataku werbalnego. Zerwała się z krzesła, ogromna z tym swoim brzuchem - rozkraczona i masywna przypominała agresywnego buldoga gotowego do walki. Wykrzykując najohydniejsze obelgi i przekleństwa, zbierała swoje rzeczy po domu, czesała się z wściekłością i na koniec związała włosy przed lustrem w przedpokoju. Robiła to zawsze, kiedy czuła, że kłótnia osiąga szczyt, bo bardzo dbała, żeby ostatnie słowo należało do niej, zachowywała więc koniec swojej perory na moment wyjścia z rodzicielskiego domu, który opuszczała z taką

Jeszcze bardziej niezwykle jest, że w tym domu, równoległe do kłótni, które stanowiły sposób życia i styl rodziny, odbywały się też inne rzeczy. Na przykład tamtego dnia, gdy kłótnia była w pełnym rozkwicie, zostaliśmy nagle obdarowani sporą ilością rogalików w folii aluminiowej, a kiedy sprawy szły ku gorszemu i jasne było, że nowego rozłamu w rodzinie nie da się uniknąć, Mihajlo okazał gotowość załagodzenia sytuacji: Andjela właśnie sypała przekleństwami, Vida gorzko płakała nad garnkami w kuchni, a on pojawił się z nowymi kapturkami na - co podkreślił, wychwalając je, żeby anulować kłótnię - zatrząsk z boku. Jego wzruszające zabiegi nie dały owoców, ponieważ wszystko już zostało powiedziane. Andjela

wyraźnie słabła i traciła natchnienie, ale zdecydowana zakończyć atak spektakularnie, zniecka zrobiła coś, czego nigdy nie próbowała. Cisnęła rogaliki na podłogę.

Folia pękła, a pokruszone ciastka rozsypały się po dywanie, brudząc go dżemem i mielonymi orzechami. Złapała mnie zaskoczonego za rękę, zanim zdążyłem się pożegnać z jej rodzicami, których zresztą dość lubiłem, i wyciągnęła na klatkę schodową, trzasnąwszy na odchodne drzwiami.

O miesiącu umierania

A przez cały ten czas listopad pożerał własne serce. Dubrownik, bombardowany w październiku, zastąpiły walące po oczach zdjęcia z Vukovaru. Zapłakana Andjela, z brodą na oparciu sofy, oglądała ruiny zburzonych ludzkich siedzib u zbiegu Dunaju i Vuki, gdzieś w tle lukrowanego sprawozdania reportera wojennego o wsiowych rysach. W falujących poziomych pasmach na naszym ekranie tułały się kolumny otępiałych ludzi, którzy wychynęli z piwnic po stu dniach, wstydliwie uśmiechały się do nas siwowłose dzieci, pokazując wyszczerbione zęby, ciało mężczyzny opierało się o mur czegoś, co może kiedyś było jego domem, na głowie gromadziła mu się upokarzająca kupa zwiru, jakiś żołnierz spłonął cały, czarna masa, wciąż jeszcze gorąca, ohydnie dymiała, widzieliśmy też młodą kobietę z połową głowy, uchodźców marznących w halach sportowych, trupy ludzi i trupy zwierząt rozrzucone po ulicach zabitego miasta, w którym po skończeniu roboty jacyś mężczyźni w dżipach urządzali sobie przejażdżki, a drżeliśmy, żeby w tym obrazie szaleństwa nie zobaczyć

Lazara, rozpasanego, pijanego, nieogolonego, takiego samego jak tłum wyzwolicieli.

I zaczęliśmy wyłączać telewizor. Zrozumieliśmy, że po prostu nie potrafimy się uporać z takimi scenami. Zmęczeni grozą, świadomi, że przyzwyczajanie się do śmierci potrwa dłużej i będzie boleśniejsze, niż w swojej haniebnej naiwności i pysze sądziliśmy, i zatroskani bardziej niż kiedykolwiek losem

Lazara, pocieszaliśmy się myślami o Nowym Roku. Tarapaty finansowe, w jakie popadliśmy, były nie do zniesienia. Nigdy nie szło nam gorzej. Na szczęście pochłaniała nas pewność narodzin dziecka, inaczej już dawno byśmy się zagryźli. A tak czasami szliśmy na spacer po mieście, kupowaliśmy kaftaniki lub zabawki - na coś większego po prostu nie mieliśmy - a sprzedawczynie zęgały nas uprzejmym podziękowaniem w chorwackim wariantcie językowym. Ale ta terapia nie zaleczyła ran otwartych scenami z Vukovaru. Andjela coraz częściej z wyrzutem kręciła głową. Kiedyś w kuchni, myśląc, że jej nie widzę, wściekle wymierzyła policzek swemu brzuchowi, ale natychmiast ocknęła się i zaszlochała, opadając ciężkim ciałem na stół. Wiem, że powinienem wtedy wkroczyć na scenę, i nasza miłość kwitłaby całe życie, ale nie zrobiłem tego; wycofałem się tchórzliwie do pokoju, i to

na palcach, żeby Andjela nie odkryła mojej przypadkowej obecności. Jakiś smutek ogarnął mnie tego wieczoru, kiedy z większym zapalem niż zwykle wykonywała ćwiczenia przedporodowe. Leżąc na plecach, unosiła kolejno nogi w powietrze. Podeszedłem do niej z tyłu, ukląknęłam i pocałowałam ją w szyję. Bardzo gwałtownie, jakby jej groził upadek, uchwyciła się mnie. Trzymała mocno. Pod nami naprawdę ziała przepaść.

Nazajutrz, albo może dwa dni później, Andjela przywitała mnie po pracy promienna - miała jakieś wiadomości o Lazarze. Już od kilku dni czas, który ja spędzałem w biurze, ona poświęcała na daremne poszukiwania w belgradzkich koszarach, gdzie tymczasowo kwaterowano zmobilizowanych przed wysłaniem na tereny objęte wojną. Opowiedziała mi, że była w dowództwie, ale tam stwierdzili, że nie wiedzą nic - to zaspokajało ich informacyjne potrzeby. Przyjaciele

Lazara, czy jak się tam oni w swoim gronie nazywają, nie byli ani trochę bardziej chętni do współpracy. Kiedy Andjela odwiedziła ich w świątyni, uśmiechali się do niej szeroko, śpiewali „Hare Krysna”, poczęstowali wegetariańskim obiadem, który jej smakował, ale wyszła stamtąd, wiedząc więcej o ich koralikach i fryzurach niż o swoim bracie. Może naprawdę nic o nim nie słyszeli, może go odrzucili, a całkiem prawdopodobne, że widzieli w nim jednego z upadłych nowicjuszy, którzy nie oparli się pokusie, i było im wstyd.

I oto zdarzyło się, że zmęczona Andjela, wracając ze świątyni, w autobusie spotkała kogoś znajomego, a ten ktoś poinformował ją, że jego przyjaciel czy krewny, czy ktoś tam (tę część opowieści zapomniała pod mocnym wpływem dalszego ciągu), wrócił właśnie z Brśadina, gdzie był w jednym plutonie z Lazarem.

- I co mówił, jak się czuje Lazar? - spytała Andjela z trudem, bo głos ją zawodził z przejęcia.

- Dobrze - odpowiedział ten ktoś znajomy, wzruszając ramionami. - Chyba dobrze.

Lazar zginął trzy dni później. Wiadomość o jego śmierci dotarła do nas telefonicznie od szlochającej pani Vidy.

Andjela cały czas wymiotowała. Nie poszedłem do pracy, żeby być przy niej. Bałem się o nasze nienarodzone dziecko.

Po co je tu sprowadzamy (zadawałem sobie pytanie, trzymając czoło Andjeli lepkie od potu). Jakie to wspaniałości mamy mu do zaoferowania, czego je nauczymy i gdzie jest ta odrobina obiecanego nam światła?

Jak na nowo pokochałem Dejana

Następnego dnia obudziłem się ociężały i bezradny. Niepokój, że nie pozostawiono nam nic prócz beznadziei, i lęk, że z tym nędznym kapitałem nie utrzymamy się tak łatwo, trzęsły mną jak gorączka. Andjela naturalnie czuła się jeszcze gorzej.

W nowy dzień wkroczyła po nieprzespanej nocy, z wysoką temperaturą i bladością w oczach. Ja, także niewyspany, tego dnia znowu nie poszedłem do pracy. Za to wziąłem prysznic i pobiegłem do miasta, żeby kupić choć trochę lekarstw z długiej listy, którą przygotowała Andjela, jako że z ostrożności wyzbyliśmy się wszystkich domowych zapasów - Andjela zwykle pochłaniała lekarstwa jak cukierki, czego teraz absolutnie nie powinna robić z powodu ciąży.

Gdy tylko wyszedłem z zatęchłej klatki schodowej na mokrą, czarną ulicę, zauważyłem, że coś się zdarzyło w ciągu nocy, którą spędziliśmy na jakichś bezsensownych rozmowach o Lazarze przerywanych szlochami, tej nocy, kiedy po raz pierwszy łyzy Andjeli wydały mi się fałszywe, choć natychmiast odpędziłem od siebie heretycką myśl. Jak zawsze, gdy wychodziłem z Molerovej na Bulwar Rewolucji, w przerwie między dwiema falami ulicznej wrzawy dotarło do mnie kilka przekleństw z różnych stron. Był to wieczny chór malkontentów, którym się skądinąd brzydziłem, jałowe jojczenie, z którego nigdy nic się nie zrodzi. Tym razem jednak usłyszałem w nim nowy ton - dyskretny, ale fatalny dyskurs. Prostacki śpiew, niby kanon, brutalny w swej bezsile, wzbogacony był o słabiutką, wzruszającą frazę, wypadkową uczestniczących głosów. Ta ledwie słyszalna fraza poruszyła mnie i - patrzcie! - w tym upojeniu nagle zrobiło mi się żal wszystkich ludzi na świecie, którym nie zostało nic prócz przekleństw (a kiedyś naśmiewałem się z nich z wyższością). Zrobiło mi się żal nas wszystkich. W blasku niespodziewanej, wszechogarniającej wizji, która rozerwała przed moimi oczami tę zwyczajną scenę na bulwarze, zobaczyłem, jak uciekamy, jak ziemia pod naszymi nogami ze straszliwym hukiem pęka i otwiera się, a z głębi bucha nieznośny odór wieków, których w swojej inercji nie wykorzystaliśmy w godny sposób, z otchłani pulsująca ośmiornica kpi z nas, niezainteresowana grozą, którą uniżenie staramy się jej ukazać pustymi gestami i pragnieniem, żeby nas nie było. Podczas mięsopustnych bachanalii trwających sekundę w głębi tej studni mięsa zniknęły ofiary wybrane na ślepo. Było ich wiele. Wszyscy, którzy się nie połapali i nie poszukali kryjówki, wszyscy, których to zaskoczyło, zostali porwani niczym latawce wyszarpięte nam z rąk przez listopadową wichurę.

Powinienem chyba być przerażony, ale jak tyłu innych moich współmieszkańców, dalej szedłem zaplutymi ulicami, wyćwiczonym krokiem tubylca przywykłego do życia u stóp czynnego wulkanu na wyspie, gdzie jego plemię pomimo wielu ofiar, które zbiera

wulkan, trwa przez pokolenia. Obszedłem kilka aptek, zanim znalazłem trzy z siedmiu lekarstw ze spisu, skoncentrowany na zadaniu, które miałem wykonać, a kiedy zadzwoniłem do Andjeli z budki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, odezwała się automatyczna sekretarka. Z ulgą odłożyłem słuchawkę. Był to pewny znak, że Andjeli udało się zasnąć. Spokojny i bezpieczny, omiotłem wzrokiem ulicę i gdzieś na jej drugim końcu, w masie ludzi, którzy się tam poruszali, wyłowilem jednorękiego Dejana.

- Hej! - wykrzyknąłem, podniecony przyjemną logiką faktu, że oto spotykam Dejana zaledwie dzień po wiadomości o śmierci Lazara. Co prawda słabo się znali, ale teraz, każdy na swój sposób, należeli do tego niezarejestrowanego klubu.

Dejan szedł tak szybko, że jego prawy rękaw łopotał pusty (i swobodny, bo Dejan nie podpiął go ani nie wsadził do kieszeni, jak to zazwyczaj robią inwalidzi), smagając przechodniów, którzy starali się usunąć przed tym biczem. W strachu, żeby go nie zgubić w hałaśliwym tłumie, wykrzyknąłem głośniejszym głosem niż przed chwilą:

- Hej, Dejan! Czekaj!

Zatrzymał się nagle, jak trafiony serią, i wyraźnie blade spojrzał zezem w moją stronę. Poznawszy mnie, uśmiechnął się z ulgą i zaczekał, aż podejść. Uścisnęliśmy sobie lewe ręce, udając, że nie robimy nic niezwykłego. Ucieszyło mnie, że Dejan śmieje się w znajomy sposób, i razem ruszyliśmy ku

Molerovej, boja swoje sprawy załatwiłem, a on miał jakiś interes koło bazaru Kalenicia. Krocząc obok mnie, Dejan dzielnie dawał z siebie wszystko, by sprawić wrażenie, że u niego sprawy mają się jak najlepiej, ale pewne zmiany - zmiany oczywiście trudniej dostrzegalne niż brutalny brak prawej ręki - przebijały przez męczące przeżycia całego dnia, psując wszystko. Pierwsze spięcie nastąpiło, kiedy niby to beztrąsko, a w istocie niezręcznie zapytał:

- Kogo widzisz? - co mógłby powiedzieć ktoś, kto wrócił z dłuższego stypendium za granicą, ale naturalnie nie Dejan. Jego twarz wykrzywiła się z niepewności, która dławiała go, kiedy głośno, a przypuszczam, klnąc w duchu, wypowiedział zwykłe pytanie, ale niezwykłość naszej sytuacji zamieniła je w koślawego potworka.

Zmieszany i wstrząśnięty, zdołałem mu nie odpowiedzieć.

Przechodząc z roztargnieniem na źle wybrany inny temat, zauważyłem tik Dejana. Przypominał zwierzę, które właśnie złapało się w sidła. Wiedział tak samo jak ja, że to nieszczęsne pytanie uchyliło furtkę do Dejana całkiem innego niż ten, jakiego znałem wcześniej. Zrobiłem unik (kto by nie wykorzystał takiej sytuacji?) i zauważyłem, że mówi

dwa razy szybciej niż dawniej, że nerwowo urywa słowa, rzadko kończy zdania, a kciukiem pozostałej ręki nieustannie dotyka pierścieni na środkowym i serdecznym. Ten nowy Dejan chodził podskakując w jakiś ledwie zauważalny, ale widoczny sposób.

Wkrótce potem jednak sprawiedliwość sprawiła, że i na mnie przyszła kolej, wyrównałem wynik. Muszę zaznaczyć, że mój zamiar był rozsądny, zanim mnie opuścił, ale kto mówi, że zamiar Dejana nie był równie świetny, kiedy o nim myślał? Chciałem mianowicie przerwać to obustronne omijanie palącego tematu, bo choć szliśmy obok siebie tylko kilkanaście minut, stało się jasne, że nad każdym tematem, jaki poruszamy, unosi się cień utraconej ręki Dejana, która wprowadziła wielki zamęt w jego życiu, i z powodu tych zakłóceń na łączach rozumiemy się gorzej niż zwykle. Spytałem go:

- No i jak ręka?

To, o co chciałem zapytać, brzmiało chyba: jak bez ręki?

Ale stchórzyłem i pytanie zadzwilo z mojego strachu. Chociaż zmrożony świadomością własnej niezręczności, byłem w stanie tylko coś wyjąkać, Dejana rozgrzał mój lapsus, odkaszlnął i odpowiedział z uśmiechem:

- Nic nie jest tak samo. Widzisz, nie jest dobrze, ale dobrze jest, kapujesz. Czyja wiem... Nauczyłem się nie stać krzywo - a jego ciało samo z siebie, jakby dla ilustracji, przybrało pozycję początkującego inwalidy.

Choć sam na sobie sprawiałem wrażenie chirurga, któremu operowany pacjent startł właśnie krople potu z czoła, poczułem, że moja przyjacielska miłość do Dejana kwitnie z całą intensywnością w samym środku tego smutnego miesiąca umierania.

Jako że przeszliśmy już połowę bulwaru, Dejan przyspieszył jeszcze bardziej tempo referowania wszystkich spraw, o których zamierzał mi opowiedzieć. W ten sposób, ledwo za nim nadążając, dowiedziałem się, że ma nowe plany: nie będzie się już zajmował muzyką ani trochę, zamierza założyć agencję towarzyską. zaproponował mi nawet, żebym był jego atutem dla zawiedzionych kobiet w okresie klimakterium, obiecał, ot tak, mimochodem, miliony, jeśli zgołę baczki.

Ale nie pozwolił mi odpowiedzieć na propozycję. Porwał go nowy temat: jak to Jeleny, jego byłej dziewczyny, nigdy nie ma w domu, ilekroć zadzwoni. Pogada sobie za to z Viktoriją, babką Jeleny, która i dawniej kochała go jakoś mocniej niż sama Jelena. Wiedziałem już, że każdy mój komentarz jest zbędny, że Dejan go i tak nie usłyszy, spokojnie więc odczekałem, aż upłynie mała przerwa, po której on odezwał się znowu.

Zmienionym głosem zatonął w długiej, chaotycznej skardze, że odkąd wrócił do Belgradu, usta ma pełne jakiegoś pseudomarsza okraszonego soczystymi przekleństwami,

którego nauczył się na froncie. Twierdził, że denerwuje go to bardziej niż brak ręki. Budzi się w środku nocy z tą piosenką na ustach i nie jest pewien, czy ma pod sobą łóżko w rodzinnym domu, czy to tylko wielowarstwowy sen człowieka zmęczonego walką, którego uwierają w plecy ostre kamienie pod posłaniem w namiocie, a na zewnątrz świszczą kule i w chaosie niespodziewanego ataku padają znajomi ludzie. Cokolwiek nieszczęsny Dejan robił, ten marsz wracał, żeby go dręczyć.

Wsiada do autobusu numer 24, chcąc nacieszyć się paroma ulicami, jakie zostały z Belgradu, a ten marsz w nim dudni.

Patrzy na ludzi na chodniku, a widzi tylko rozpierchnięte plutony, dzikie oddziały uzbrojonych cywili, pazury i zęby.

I wszyscy wydają mu się podejrzani. Jest bardziej tchórzliwy niż kiedykolwiek, a dawniej pchał się wszędzie i zadzierał ze wszystkimi - nie było w nim tego strachu.

W tym momencie doszliśmy do Molerovej. Obok mnie kroczyła postać z jakiegoś hollywoodzkiego filmu o weteranie wojennym i taki Dejan mnie fascynował. Choć Molerovą najprościej jest dojść na bazar Kalenicia, było logiczne, że on zdecyduje się iść dalej sam bulwarem w górę. Nasze ociąganie się wobec pewności pożegnania wypełniło wycie czerwonego ikarusa.

- Wiesz, że Lazar zginął? - powiedziałem przez ten hałas.

- Kto? - spytał Dejan, marszcząc twarz.

- Lazar, brat Andjeli - wyjaśniłem.

Dejan wzruszył ramionami, jakby znowu mnie nie rozumiał i jakby było mu to obojętne. Obliznął się i pokręcił głową.

Jego pięć palców przeplatało się nieustannie - był to cały katalog nerwowych tików. Ale twarz, którą obserwowałem z podziwem (bo była to twarz postaci filmowej), wyrażała jakąś dziką radość.

- Może jednak wstąpisz na kawę? - zaproponowałem, żeby przeciąć zbyt napięty węzeł chwili, pewien zresztą, że

Dejan nie przyjmie zaproszenia. - Andjela śpi, ale myślę, że z przyjemnością by się z tobą zobaczyła.

Uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową. Nie wytrzymałem, musiałem go uściskać przed ostatecznym rozstaniem.

Głęboko wierzyłem, że nie usłyszymy się i nie zobaczymy tak szybko, a wydał mi się pomimo wszystko dzielny. Bo nie zdradzał zamiaru poddania się. Było mu źle, ale

balansował pozostałą ręką i wydawało się, że kiedyś, naprawdę niebawem, rzeczywiście złapie równowagę, choćby miało się to dokonać dzięki agencji towarzyskiej. Ten nagły wylew przywiązania

Dejan przyjął z lekkim rozluźnieniem. Coś w nim trzeszczało i łamało się, ale trzymałem go wystarczająco długo, i w końcu objął mnie całą ręką. Choć przygotowany byłem na to przeżycie, niemal dusiłem się łzami, kiedy jego kikut bezsilnie zadudnił mi po ramieniu. Była jednak jakaś harmonia w tej szarpaninie. To był kikut, który by doskonale wiedział, co robić, gdyby mu tylko jeszcze raz dano szansę bycia ręką. Tak bliski był mi wtedy ten kikut, że najchętniej pocałowałbym go, z najczystszej przyjaźni, jak całuje się policzek, gdyby nie było to tak nietaktowne.

Kuzynka i mój upadek absolutny, z którego podniosę się pozbawiony złudzeń

Ciało Lazara z siedmioma ranami postrzałowymi przywieziono w niezwyklej trumnie, w szarooliwkowej asyście. Żołd, którego to ciało nie zdołało pobrać, przelano zwykłym trybem na konto ojca. Mihajlo płakał pochylony nad trumną.

Młody porucznik z asysty nie wiedział, co powiedzieć, było jasne, że sytuacja go przerasta. „Musi pan być silny” - powtarzał monotonnym głosem zdanie z jakiegoś niepisanego szablonu.

Przyjaciele Lazara, chociaż nekrolog ukazał się w „Politice” z informacją o terminie i miejscu kremacji, nie dali żadnego znaku. Siedzieli w swojej świątyni i nie interesował ich świat zewnętrzny, nieoświecony, który przyjmował ciosy, wcale się nie broniąc. Może po prostu tylko siedzieli, pogrążeni we własnym dogmacie, a może - nie chciałbym zgrzeszyć - oplakali jakoś Lazara, ale postanowili nie dzielić tego z nami.

W ogóle brak młodych ludzi na cmentarzu był porażający.

Poza dwoma żołnierzami, którzy byli tu z obowiązku, jakiejś dalszej kuzynki Lazara i Andjeli, kuśtykający orszak składał się z ludzi w średnim wieku, w ciemnych płaszczach, i kilku antycznych nosów sinych z zimna. W tej procesji czułem się jak intruz, daleko od Andjeli, chronionej pozycją u czoła, żałobą, wspomnianą bladością w oczach, która pozostanie w nich aż do narodzin naszego dziecka, i niedwuznacznym brzuchem. Kroczyłem więc niepewnie, przemocą oddalony od swego oparcia. Czytelnik, żeby mieć wyrozumiałość dla mojego udziału w niezwykłej przygodzie, jaka z tego wynikła, musi uwierzyć, że nie było mi lekko!

Wspomniałem już, że w ciągu ostatnich kilku lat życia widziałem wiele pogrzebów, ale w takim jeszcze nie uczestniczyłem. Smutny i komiczny rytuał, urządzony przypadkiem, w pełni odpowiadał mojemu własnemu widzeniu Lazara i on sam, kiedy całe to wariactwo się



skończyło i kiedy zapadłem w odprężający sen, załsnął przede mną w aureoli świętego. Jeśli nie liczyć siarczystego policzka, który pop wymierzył diakowi tuż przed bramą cmentarną, kiedy się zbieraliśmy, wszystko, można rzec, było umiarkowanie godne aż do chwili, gdy mistrz ceremonii w grubych okularach (widywałem go i na poprzednich kremacjach) dał ręką znak niewidocznemu pracownikowi, że może uruchomić prosty mechanizm w katafalku i spuścić trumnę z ciałem Lazara w głąb czyścica. Krocząc rytualnie w tył, wymachiwał energicznie niby milicjant na skrzyżowaniu, aż nagle potknął się o filodendron i gruchnął na marmurową posadzkę, głośno plasnawszy tyłkiem. „Ojej!” - wrzasnął na dodatek. Kuzynka, o której wspomniałem, a która stała obok mnie, nie wytrzymała. Zachichotała, co zabrzmiało nienaturalnie w miejscu, gdzie ludzie rzadko się śmieją. Kiedy ona lodowaciała pod spojrzeniami obecnych, organizator doszedł do siebie po szoku. Trumna ze zgrzytem zniknęła w głębinach krematorium i zdawało się, że zużyta lina w każdej chwili może pęknąć, a trumna spaść i roztrzaskać się w drzazgi. Taki mnie strach ogarnął przed tą możliwością, że wymknąłem się na zewnątrz, na powietrze. Kiedy wychodziłem na palcach, znowu doleciał mnie chichot kuzynki i kaskadowy stukot damskich obcasów. Bardzo wyraźnie poczułem na plecach gorąco jej spojrzenia; byłem już przy wyjściu, świeże powietrze sprawiło, że się odprężyłem, a przed oczyma otwierał mi się widok, który byłby idylliczny w innych okolicznościach: sześciu przemarzniętych robotników w kufajkach skupiło się wokół opuszczonej srebrnej tacy z kutią i rakiją, którą raczyli się prosto z butelki. Odwróciłem się na pięcie, żeby stanąć twarzą w twarz z utkwionym we mnie spojrzeniem, a dźwięk wiosennych dzwonek, niepasujący do tej pory roku, załaskotał mnie do ostatniego włoska po wewnętrznej stronie ud.

- Nie wiem, co mi się stało - powiedziała kuzynka cichym, melodyjnym głosem, z poważną twarzą.

Oczy miała czarne jak sadza, pełne, gładkie wargi czyniły ją romantycznie piękną. Mówiła bez żadnego akcentu, bardzo spokojnie, a urodę traktowała zupełnie inaczej niż Andjela.

Andjela swoją obnosiła z dumą, niby właściciel wspaniałej części odzieży. Kuzynka swą urodę trzymała pod kluczem, drżała z płonącego wstydu i dziwnie czytelnych oczekiwań, a i ja drżałem przed nią, jak drżałbym przed gwiazdą filmową, gdyby pojawiła się przede mną w ulubionej roli, chociaż kuzynka była tylko ładną dziewczyną, jakich w Belgradzie wiele. Wymieniając błahe zdania, poszliśmy cmentarną alejką, jedną z tych małych ścieżek, które wiją się nieprzewidywalnie, obrzeżone krzyżami. Szliśmy wolnym krokiem. Kuzynka prawie niepostrzeżenie ofiarowała mi ciepłą, suchą dłoń.

Niby na migocącym czarno-białym filmie zaczął padać śnieg.

Przypomniałem sobie niedawny film z Dejanem w roli głównej, który oczywiście był kolorowy, ale mimo to blady, jeśli się go porówna z tym. Bo duże płatki osiadały nam na policzkach. Oparty o popękane płótno z panoramą starego cmentarza, według kodeksów wschodnioeuropejskiego marzenia łamałem wszelkie zasady - całowałem ją. Jej ręka wsunęła się pod mój płaszcz, a kiedy ścisnęła to, co tam znalazła, jęknąłem z rozkoszy i bólu. W rewanżu ugryzłem ją w ucho.

Jej kolczyk był smakowicie zimny. Wszystko, co się działo, tak bardzo przypominało spełnienie mojej seksualnej fantazji - obejmować nieznaną osobę, której nawet imienia nie znam, w porozumieniu zawartym bez słów, w jakiejś innej formie komunikacji - że w podnieceniu mogłem tylko głośno i szybko oddychać, usiłując jak najdalej odsunąć niesmak z powodu absolutnie niezręcznej sytuacji. Chcę powiedzieć, że postarałem się rozkoszować powierzoną mi rolą. I dopiero kiedy spuściłem się w dłoń kuzynki, dostrzegłem pryszcze na jej policzkach i zawstydzilem się. Przyciąłem się i wyrwałem sobie kilka włosów, zapinając rozporek. Ona uśmiechnęła się i pocałowała mnie w kark.

- Masz papierosa? - spytała z czułością.

Gacie miałem pełne płatków śniegu.

- Nie mam - odpowiedziałem. - Masz chusteczkę?

Uśmiechnęła się jeszcze raz, żeby ze mnie zadrwić.

- Nie mam - odpowiedziała, naśladując sposób, w jaki przed chwilą wypowiedziałem te same słowa. - Ale wezmę następnym razem.

Spiesznie doprowadzałem ubranie do porządku, a kuzynka powoli, drugą ręką poprawiając włosy, wytarła dłoń o chłodną powierzchnię pobliskiego krzyża.

- Studiujesz? - spytałem wtedy, całkiem głupio i niepotrzebnie. Skurczony ze wstydu, zostałem bez odpowiedzi, na co zresztą zasłużyłem. Żeby wszystko było jeszcze bardziej ponure, chcąc co prędzej dołączyć do żałobników, a jednocześnie starając się zostawić kuzynkę w tyle, wlałem po kolana w błoto.

Nigdy przedtem nie zrobiłem niczego podobnego. Nigdy, jak się to brzydko mówi, nie zdradziłem Andjeli. Nie żebym miał coś przeciwko temu, ale współczynnik taktyki, zabiegów i kłamstw, jakich zdrada wymaga, zawsze wydawał mi się zbyt wysoki. Do takich totalnych manipulacji nigdy nie miałem nerwów. Za to załatwiałem te sprawy sam, zwłaszcza jeśli sytuacja była dla mnie za trudna. Po skończeniu tej czynności sytuacja nie stawała się łatwiejsza, ale ze mnie prócz nasienia spływało wewnętrzne napięcie, i to zapewniało mi chwilę oddechu, zanim napięcie znowu wzrośnie. Z takiej potrzeby, myślałem, zdarzyła się

także opisana przygoda. Po niej - mimo pewnego wstydu za to, co zrobiłem, spowodowanego, prawdę mówiąc, bardziej przesądem niż małżeńskim przewinieniem - właściwie nie czułem się bardziej winny, niż gdybym sam poszedł za jakiś krzyż i się wyonanizował. Choć oczywiście bałem się, żeby Andjela czegoś nie zauważyła.

Gdy dołączyłem do grupy, która stała niezdecydowanie na placu przed bramą cmentarną, czekając najwyraźniej na mnie i kuzynkę o parę kroków za moimi plecami, bardzo widoczną w szerokiej alei, zderzyłem się wzrokiem z zimnymi, podpuchniętymi oczyma żony. Podszedłem do niej z godnym obliczem i cichym głosem powierzyłem jej wielką tajemnicę:

- Poprosiła mnie, żebyśmy się przeszli, źle się poczuła...

I kto wie, może Andjela to przełknęła. Coś jednak wygrażało mi z wysokości, coś, na co kłamstwa nie pomagają.

Niewidoczny palec zginał się i prostował nade mną. Ale wkrótce wszystko się uspokoiło. Z obłoków nie strzelił żaden grom, żeby mnie ukarać za świętokradztwo, za złamanie świętej przysięgi małżeńskiej i patologiczny brak wszelkiej odpowiedzialności moralnej. Tu, u wyjścia z cmentarza, silny pod tęnym spojrzeniem Andjeli, roześmiałem się z absolutnej bezsilności niebios. A więc to prawda! Wszystko jest dozwolone.

O ojcu i matce

Moi rodzice, żeby być na pogrzebie, wcześniej wrócili z K., wsi w paśmie Fruška góra. Znając ich twardą pryncypialność i niechęć do przesuwania ustalonych terminów, ten gest zrozumiałem jako oznakę szczerego żalu z powodu Lazara, którego bardzo lubili.

Tak jak dla wielu ludzi, którzy życie spędzili w mieście, dla mego ojca i mojej matki wieś stanowiła źródło egzotycznych przyjemności. Dlatego gdy oboje przeszli na emeryturę, zaczęli spędzać tam większą część roku, wiernie naśladowując wiejski sposób życia. Z dbałości o absolutny autentyzm postanowili nie doprowadzać prądu do wiejskiego wychodka w głębi podwórza i dzielnie wkraczają w cuchnącą atramentową ciemność, siedzibę pajaków i much, jeśli zdarzy się, że ich przyciśnie w nocy - skądinąd się powstrzymują. Ale rozumiem, dlaczego lubią przebywać w K. Dom mojej babki jest istnym arcydziełem amatorskiej architektury, ukształtowanym przez brak lub nadmiar materiałów (powstawał w latach 1947-1948), przez nikłą wiedzę i ciężką nostalgię budowniczych (byli to niemieccy jeńcy wojenni, z nienacka deportowani do Niemiec, zanim zdążyli skończyć dzieło), a w największej mierze przez kaprysy dyrygenta - mojej babki, której zrzedliwych uwag niemieccy budowniczowie się bali. Można przypuszczać, że wśród mnóstwa różnych rzemieślników był jakiś projektant,

który naszkicował dom w podstawowych zarysach, ale z oryginalnych pomysłów zbyt łatwo rezygnował na rzecz dobrych stosunków z surową rozkazodawczynią, bo najwyraźniej akceptował i realizował bez wahania wszystkie zachcianki babki, choćby nie wiem jak nielogiczne, starając się - w stopniu, w jakim to było możliwe - pozostawić w architekturze domu także własny ślad. Tak powstała budowla z dachem w kształcie piramidy krytym dachówką, wzniesiona nie z cegieł lepionych domową metodą, jak należało się spodziewać, bo glina i słoma zawsze się znajdują, ale z fachowo dobranych kamiennych brył, w których przeważały odcienie żółte i niebieskie - na życzenie babki, z oknami obramowanymi wdzięcznie ułożonymi cegłami - według gustu samych budowniczych. Moja matka hoduje tam różnobarwne kwiaty w żardinierach ze skrzynek po cytrynach i gdyby przypuszczalny projektant, jeśli jeszcze żyje, znienacka pojawił się w K., żeby dokonać inspekcji swego dawnego dzieła, byłby przyjemnie zaskoczony, stwierdziwszy, jak świetnie i harmonijnie jego eklektyczna budowla wygląda na samej krawędzi skarpy i z jaką miłością obecni właściciele pielęgnują ją i utrzymują. Matka ozdobiła dom kwiatami, a zasługą ojca jest winorośl, która obrasta niewykończoną ścianę od podwórza. Wróble zakładają w jej szparach gniazda i ojciec czasami zmuszony jest przeganiać je z wiatrówką w rękę, a one, jakby drwiły, koszącym lotem uciekają przed jego strzeleckimi zapędami.

Miejscowi nie zapomnieli jeszcze niemieckich budowniczych, kiedy zjawili się nowi robotnicy pod wodzą państwowego artysty w mundurze, i wkrótce na jednym ze wzgórz wzniesiono pomnik bojownika, na którego brzuchu, według odkrywczego projektu artysty, wypisane są nazwiska wszystkich ofiar, jakie wieś K. złożyła w walce z okupantem i rodzimymi zdrajcami. Wśród nich znalazło się nazwisko mojego dziadka ze strony ojca, choć z nikim nie walczył. We wsi przebywał jako nauczyciel. Miał nieślubne dziecko z moją babką, mojego ojca, kiedyś zapuścił wąsy, a parę miesięcy później je zgolił, planował, że przestawi się na hodowlę pszczół, ale mu to uniemożliwiono. Rozstrzelano go bez wyraźnego powodu.

Wysoko nad tępo zakończoną głową bojownika do niedawna bez przeszkód mieszały się na niebie obłoki ze wschodu i zachodu. W czasie, o którym mówi ta książka, gdyby człowiek miał ochotę usiąść na ławeczce przed łuszczącą się wiejską cerkwią, której barokowe oblicze od roku 1764 powoli ulegało atrofii, a którą wtedy pod rządami młodego, ambitnego popa przygotowywano do konserwacji, mógłby, mimo nieznośnego trzeszczenia tranzystora kioskarki, całymi dniami, ile mu się chciało, nasłuchiwać głuchej grzmoty broni po drugiej stronie wzgórz.

Więszą część mieszkańców K. zmobilizowano. Pozostali (przeważnie starcy, wiejscy pijaczkowie i wykolejeńcy) lubowali się w regularnych popołudniowych spotkaniach w centrum, przed cerkwią lub pod kioskiem, jak kto wolał.

Mój ojciec zaprzyjaźnił się z nimi, a jako emerytowany oficer wysokiej rangi uhonorowany został statusem głównego mówcy. Chociaż zgromadzenie rozprawiało przeważnie na jakieś niezbyt jasne tematy, ojciec, jeżeli był w dobrym humorze, roztaczał przed nimi wizje z wojskowo-profesorskiej przeszłości, wszystkie ich wątpliwości pokrywał lukrem logiki i strategii, wyjaśniał zafascynowanym słuchaczom wyższość jednych rodzajów broni nad innymi, a co do spraw naprawdę ważnych - na przykład: dlaczego we wsi nie ma młodych ludzi i kto będzie uprawiał ziemię, gdy przyjdzie na to pora - te jako bardziej osobiste ojciec hardo zachowywał dla siebie. Kiedy wreszcie wyczuł, że powiedział już swoje, przeproszał i opuszczał ich. Widzę go, jak idzie lekkim krokiem, z brzuszkiem, siwy, o zdrowych zębach, witając ludzi naokoło i odpowiadając na powitania, podobny do ojca, jakiego pamiętam z czasów, kiedy codziennie przed obiadem wygrywał w szachy z naszym sąsiadem, a swoim kolegą z uczelni wojskowych, podpułkownikiem Kreftem, który tego lata wyprowadził się z Belgradu i ojcu chyba brakowało tej odrobiny triumfu. Jeżeli i to mu się znudzi, wie, choć takie decyzje podejmuje rzadko, że zawsze może z pomocą matki spakować się i za godzinę być w Belgradzie. Dom z szopą i czardakiem\* (które są już typowo sremskie), a także chlewem, który niczemu nie służy, zostawi pod opieką jednookiego kocura z wybitą szczęką, który, jak lubi mówić matka, zaadoptował ich.

Moi rodzice spotkali Lazara zaledwie parę razy. Ale kochali go mocno i bez powodu, a to uczucie było dla mnie o tyle bardziej niezwykle, że nigdy nie zdołałem dociec, czy kochają mnie, swoje jedyne dziecko. Tłumiąc ból, wrażliwi na hierarchię wśród żałobników, najwyraźniej postanowili na pogrzebie niczym się nie wyróżniać. Matka jednak nie potrafiła opanować nerwów - zdenerwowanie w jej przypadku zastępowało wszystkie emocje. Wystrzegąca się wszakże gwałtownych reakcji. Nawet kiedy ojciec wyjął papierosa i zapalniczkę w kaplicy, bo postanowił zapalić, ona, patrząc chłodno w inną stronę, uszczypnęła go w udo tak, że odskoczył w bok z osłupienia i bólu, ale zrozumiał intencję i incydent przeszedł niezauważony. Resztę ceremonii spędzili u czoła orszaku, mówili szeptem i tylko jeśli to było konieczne, a ich twarze doskonale wyrażały cierpienie i godność. Także na stypie, gdzie cały żal o późnej porze nagle przekształcił się w swoją parodię, moi rodzice, wiedzeni dziwnym instynktem, wraz z innymi gośćmi zaśpiewali stary romans o nieszczęśliwej miłości, uwiędłych różach i śniegu.

Spodziewałem się, że już następnego dnia nie będzie ich w Belgradzie, toteż moje zaskoczenie było ogromne, kiedy nazajutrz rano w drzwiach mieszkania na Molerovej pojawił się ojciec. Oto człowiek, który zaledwie nas znał, stał teraz przed nami uśmiechnięty, w berecie nasuniętym na czoło.

Mniej zdziwiłoby mnie pojawienie się matki, bo ojciec tak kurtuazyjnie trzymał się z boku w czasie mego dojrzewania

\* Tu: osobno stojący przewiewny budynek do suszenia kukurydzy, typowy w krajobrazie Šrems (przyp. tłum.). i pozostawiał mnie samego na placu boju we wszystkich decydujących sytuacjach, po prostu chowając się za rogiem, że za nic nie byłem w stanie pojąć, czy w tej długiej grze jesteśmy partnerami, czy przeciwnikami. Czasami oczywiście czułem, jak snop reflektora jego uwagi kieruje się na mnie, i cieszyłem się tym ciepłym promieniem, ale chwile te były tak rzadkie, że nie pozostawało mi nic innego, jak fetyszyzować je, póki trwały, bo napady ojcowskiej inspiracji mego najbliższego przodka objawiały się według jakiegoś tajemniczego klucza i w ten sam sposób się kończyły. Potem obydwaj, ochłonawszy, na powrót podejmowaliśmy ustalone role obcych, którzy witają się serdecznie, jeśli się spotkają na ulicy, choć woleliby wcale się nie spotkać.

I oto zniecka (po kilku latach, w ciągu których spotykaliśmy się w odstępach od sześciu do pełnych siedemnastu miesięcy) ojciec się pojawił. Beret i szalik zostawił w przedpokoju.

Ciekawiło go mieszkanie, chciał je obejrzeć, a ja nie mogłem dociec, jak działa na niego agresywna koncepcja urządzenia przestrzeni życiowej autorstwa Andjeli, z mnóstwem kwiatów, ciężkich draperii, zakurzonych fotografii i lusterek, ale jeżeli nic innego, to przestronna kuchnia na pewno zrobiła na nim wrażenie. Drażnił mnie jego szczerzy zachwyty nad wielkością mieszkania.

- Przecież sam mi je kupiłeś - przypomniałem mu.

A on, żeby nie wdawać się w rozmowę na niezręczny temat, entuzjastycznie zatarł ręce i powiedział:

- Ale jestem głodny. A wy?

W ten sposób zawładnął kuchnią, wyraźnie zdecydowany zadomowić się u nas. Codziennie przychodził z siatkami jedzenia i przygotowywał nam posiłki. „Czy twoi czasem się nie rozchodzą?” - spytała Andjela podczas jego trzecich odwiedzin, ukradkiem, z zatroskaną twarzą, a on sekundę później zjawił się w pokoju, niosąc patelnię ze świetnym omletem z szynką i serem. Wchodził tak, triumfalnym krokiem, również z jenajskim naczyniem pełnym skwierczących jeszcze zapiekanych naleśników, które nadziewał farszem

z sera, smażonego boczku, śmietany i jajek. Czasem podawał nam po prostu grzankę natartą ząbkiem czosnku i posmarowaną masłem. Sam regularnie pijał herbatę (my woleliśmy kawę) ze sporą ilością rumu i cukru. Nie pamiętam, czy pił ją w takiej postaci, kiedy mieszkaliśmy razem, ale teraz ten napój i jego upojny zapach wyraźnie go rozweselały.

Z czasem jego wizyty przybrały formę nawyku. Ja wciąż nie chodziłem do pracy, telefonicznie powiadomiłem biuro o chorobie, żeby być przy tym, choćby ojciec miał nas odwiedzać nie wiem jak długo. Kilka pierwszych jego wizyt promieniowało celem i było nam przyjemnie, bo wiedzieliśmy dokładnie, kiedy przyjdzie, jak długo zostanie i dlaczego nas opuści. A gdy już poszedł, mieliśmy przed sobą cały dzień.

Pobyty ojca niczego nie zakłócał. Przy nim mogliśmy robić absolutnie wszystko i na wszystko, cośmy robili, dostawaliśmy jednoznaczne sygnały akceptacji. I wtedy zrozumieliśmy!

Ojciec jest tutaj, żeby uczynić nasze życie przyjemnym!

W synowskiej euforii przyszło mi na myśl i to, że jeśli o mnie chodzi, śmierć Lazara nie jest złą zapłatą za taką przemianę ojca, ale w tym ekstatycznym stanie byłem jednak na tyle ostrożny, żeby dodać (na psa urok): pod warunkiem, że będzie to przemiana trwała, a taka oczywiście być nie mogła.

Nie trzeba jednak przesadzać. Czasami nas wręcz denerwował. Kiedy pochyłał się, żeby podnieść jakąś rzecz z podłogi (a wiecznie mu coś wypadło), lewe kolano zawsze wyskakiwało mu ze stawu i musiał je wypchać z powrotem na miejsce z obrzydliwym trzaskiem, a na jego twarzy pokrytej żyłkami pojawiał się skurcz. Chociaż Andjela starała się być dla niego maksymalnie uprzejma, wydarła się raz:

- Na Boga, niechże ojciec idzie do lekarza!

Na co on spytał z niewinną miną:

- Po co?

Takie miał poczucie humoru. Podobnych uwag wysłuchiwał od innych, do lekarzy chodzić nie zamierzał, bo ich lekceważył, doszedł więc do wniosku, że będzie łatwiej zbudować wokół siebie mocny mur obronny. A kiedy Andjela ciągnęła dalej:

- Jak to po co? Proszę iść do lekarza z tym kolaniem. To straszne.

On tylko prychnął. Na Andjelę nie obraziłby się, nawet gdyby go z rozpędu skłęła. Jej gniew tolerował, tłumaczył go frustracją nowicjuszeki, która wkrótce minie i Andjela przestanie zwracać uwagę na kolano, takjak przyzwyczailiśmy się do niego matka, ja, brat ojca i Franc Kreft, do niedawna nasz sąsiad.

Świadomość, że ojciec od pierwszego dnia najwyraźniej był tu z powodu Andjeli, a mnie ledwie zauważał, paraliżowała nas. Chciałbym móc traktować jego wizyty jako chęć niesienia pomocy, bo jakaś pomoc naprawdę była Andjeli potrzebna, ale ojciec spełniał bardziej złożoną misję. On, taki sztywny, zamierzał zostać prawdziwym przyjacielem Andjeli.

Wszystko było podporządkowane temu świętemu celowi, nawet nieliczne spięcia, do których między nimi dochodziło, jak to z kolanem. Proces ich zbliżania się przebiegał gładko i zacząłem pojmować, że w jakiś pośredni sposób obejmuje i mnie. Ta nowa bliskość odpowiadała mi, łatwiej się z nią oddychało. Zostało mi też dane nowe doświadczenie: widziałem, jak z ojca opadają warstwy skorupy ochronnej.

- Jak było u ginekologa? - spytał zatroskany, kiedy

Andjela wróciła po kontroli.

A gdy oświadczyła, że wszystko jest w najlepszym porządku, wymamrotał:

- Nigdy nawet o tym nie myślałem, wnuk...

Nasze rozmowy tchnęły błogim spokojem. A kiedy ojciec wzdychał i mówił śpiewnie: „Dzieci, dzieci”, wiedzieliśmy, że nie powie nic więcej. Wstanie, złapie beret, pomogę mu włożyć płaszcz, oboje odprowadzimy go do drzwi. Andjela będzie szła za mną, kołysząc się jak kaczka, śmieszna fizycznie, ale z anielską twarzą. Zjedną nogą na korytarzu ojciec pożegna nas ruchem ręki, który będzie niezwykle wstydlivy. Zawsze na nowo będę się zastanawiał, czy to możliwe, żeby czuł się aż tak zażenowany.

Jego przemiana, mimo iż trwała może dziesięć dni, fascynowała mnie. Takiego wybuchu dobrej woli od matki nie oczekiwałem nawet we śnie. Moja matka była chłodnym, choć bliskim elementem stałym, zawsze w tej samej, przyjemnej odległości ode mnie, i jej pryncypialne nieprzychodzenie z ojcem - chociaż dzwoniliśmy do siebie codziennie, a dwa razy i ona była naszym gościem, co prawda w godzinach wieczornych, które uważała za jedyną porę na wizyty - sygnalizowało, że świadomie utrzymuje swoją pozycję. I w niej zdołałem jednak dostrzec nader niezwykłą zmianę, ale na całkiem innym planie. Wyszło najaw, że matka należy do tej grupy inteligencji, która okazała się zdolna tylko do niedopuszczalnej dziecięcej naiwności. Nie oburzam się, ale po swojej matce oczekiwałem więcej. Uważam, że mam prawo żądać tego wyraźnie i czuć się rozczarowany dominującą w moim życiu istotą.

Tak oto, trochę smutno, zdarzyło się, że ojciec przyjemnie mnie zaskoczył, ale matka rozczarowała. Pierwszy raz on był dla mnie zrozumiały, ona - nie. A żyję już trzydzieści lat. Może ma to jakiś związek z popołudniową drzemką, nie wiem.



Bo nic się właściwie nie stało. Tylko tyle: kiedy na stypie zapytano ją, jak znosi strzelaninę, której na wsi zmuszeni są słuchać co noc z powodu bliskości frontu, matka zapaliła papierosa i dopiero wtedy, cała w niebieskawym dymie, zwróciła się do rozmówcy z przepaszającym uśmiechem:

- Nie, to naprawdę straszne - powiedziała - ale cóż, człowiek może przywyknąć do wszystkiego.

### III

#### . GRUDZIEŃ 1991

Wszystko zwalnia tempo, nawet zegary chodzą jakby wolniej - O idealnym doręczycielu - T.P. Groteskę Kid, spółka z o.o. - Wspomnienia z dzieciennego pokoju - Z Vanją o błahostkach, a także o Dejanie - Pod pokładem

Wszystko zwalnia tempo, nawet zegary chodzą jakby wolniej

Mrużę oczy pod pomarańczową kołdrą, tuż koło ciała Andjeli, które moment wcześniej zamknęło się we śnie, i oto Lazar wyłania się przede mną w płomiennej komorze: wyskakuje z ciężarówki gdzieś w Brśadinie, a Brśadin jest płataniną renesansowych ulic. Spiralne zaułki roznoszą stuk jego podkutych butów po bruku, jego kosmyk swobodnie powiewa, staje się grzywą, później biczem. Kiedy uderza w fasady starych dwupiętrowych domów z wykuszami, z hukiem odpadają z nich kawałki tynku. Wszystkie ulice tego renesansowego miasteczka zbiegają się na rynku, na którego środku, niby pępek, wznosi się Koloseum. Lazar, a za nim kosmyk, niezwykle długi, podchodzą do głównego wejścia z błyszczącym napisem ENTRANCE. Strzegą go uzbrojone typy w obcisłych ubraniach i chociaż ich wzrok jest z zasady surowy, Lazarowi okazują życzliwość, witają go uprzejmym pochyleniem głowy. Przebiegłszy obok nich, Lazar znajduje się wreszcie po drugiej stronie, wstępuje na zakurzone podium. Tu przystaje, nasłuchując reakcji tłumu - nic więcej się nie stanie.

Pomarańczowa kołdra nie podsuwa puenty snu.

Albo śni mi się dziecko, które wyrywa się z rąk matki, żeby podbiec do Lazara z czasów pokoju i ostrymi zębami wyrwać kawałek ciała z jego uda. Lazar wije się z bólu, a dziecko bezpiecznie wraca w matczyne objęcia. Matka, nie okazując gestem, że stało się coś niezwykłego, troskliwie zdejmuje mu z ust strzępek wyrwanej tkaniny barwy szafranu.

Drugi raz zamykam oczy pod pomarańczową kołdrą, a Andjela już bada mi puls, patrzy w źrenice i powierza tajemnicę komuś, kto znajduje się obok: „Myślę, że teraz jest martwy”. Potem znika, a w mój unieruchomiony widnokrąg dramatycznie wchodzi gumowa ręka z żyłką i spuszcza się ku memu ciemieniu. Kiedy nacina skórę, nie boli mnie, tę

czynność, której nie widzę, odbieram jako abstrakcyjne doznanie. Z mojej głowy, niby z pękniętej dyni, ciekną pestki i jakiś śluz jak lipowy napar osłodzony miodem. Obrazy tłoczą się przed moimi oczyma, a potem jestem zmuszony obserwować Andjelę. Przywiązali ją z rozkraczonymi nogami do chromowanego nowoczesnego narzędzia tortur. Związana, nic nie może zrobić, leży tylko i jęczy. Dziewięciu zamaskowanych medyków w togach wyjmują z niej bezpłciową plastikową lalkę z gwarancją, gdy obraca się ją na brzuch, lalka mruga nieżywymi powiekami i woła „mama”. Główny doktor, nie zdejmując maseczki, mówi: „Zaczęło ropic. Za pięć godzin mielibyśmy zmiany w macicy. Musi pan zrozumieć, nie było wyboru”.

Postanowiłem, że jeżeli jeszcze raz będę przeżywał podobny horror, poproszę Andjelę, żebyśmy zmienili pościel.

Cieszyłem się jednak, że w ogóle mogę spać. Cięższe od najcięższych snów było dla mnie budzenie się zimą prosto w gardziel mrocznego poranka. Dlatego kiedy rodzice znów wyjechali z Belgradu i zostaliśmy pozbawieni przyjemności codziennych wizyt ojca, obliczywszy, że poród Andjeli jest tuż-tuż, chorobę bez zwolnienia telefonicznie zmieniłem na urlop. Może trzeba to było zrobić osobiście, bo takie postępowanie przypominało manewry człowieka, który zamierza złożyć wypowiedzenie, mogłoby się więc zdarzyć - co się zresztą stanie, tylko trochę później - że dyrektor zechce być szybszy i skreśli mnie z listy płac z własnej inicjatywy, ale po prostu nie miałem siły na konfrontację. Poza tym nade wszystko nienawidziłem jazdy zapyziałym autobusem aż na Banovo brdo. Odkryłem w ten sposób, że nawet ewentualność wypowiedzenia nie budzi we mnie zbyt wielkiego lęku. No i co!, myślałem, nadymając się z przekory. Na pewno znajdę lepszą pracę.

Andjela i ja spędziliśmy pierwsze dni grudniowe, śpiąc do południa albo dłużej, potem wlekliśmy się gdzieś na kawę i croissanty. Później szliśmy na Kalemegdan lub udawaliśmy się z jakąś poranną wizytą. Te trochę pozostałych rezerw wydawaliśmy wyłącznie na głupstwa. Wieczorem odwiedzali nas przyjaciele i siedzieliśmy do wczesnych godzin rannych oraz pierwszych autobusów. Tylko Andjela wycofywała się do łóżka przed północą - albo kładła się przy nas, na płaszcach.

I oto się okazało, że śmierć Lazara przyniosła spokój, którego dawniej nam brakowało. Pogrzeb i wydarzenia, jakie nastąpiły potem, stworzyły sytuację zbiorowego pogodzenia. Nawet stosunki Andjeli z rodzicami kwitły. Lazar okazał się jedyną ofiarą tych pozytywnych skądinąd tendencji. Niemożność porozumienia, współuczestniczenia w naszych aferach, wycisnęła go z naszej codzienności i nie mógł być zadowolony, obserwując skądś, jak jego najbliżsi zajmują się ziemskimi sprawami, nie okazując ani śladu woli zbadania jego

przypadku i stwierdzenia, co działo się z nim tam, w Brśadinie, podczas jedenastu dni jego bohaterskiej wojaczki. Chociaż wydawanie sądów o pewnych sprawach nie jest rzeczą wdzięczną, w tym konkretnym wypadku gotów jestem twierdzić w obronie nas, żywych, że i przed nieszczęsną śmiercią Lazara istniał wśród bliskich głównie w postaci zamkniętych na klucz drzwi łazienki. Przystępując w przedpokoju z nogi na nogę, domownicy mieli dla siebie tylko jedno pocieszenie. Medytuje, stwierdzali zgodnie, ale szli przestępować z nogi na nogę i cierpieć gdzieś, gdzie nie będą mu przeszkadzać. Jedynie Andjela, zawsze uparta w dochodzeniu swoich praw, kiedy jeszcze z nimi mieszkała, dziesięć minut wściekle waliła w te drzwi, żądając od Lazara, żeby wreszcie przestał mantrować. Vida i Mihajlo drżeli wtedy i nerwowo spacerowali w jakimś odległym kącie mieszkania - oni raczej poszliby się wysikać do sąsiadów, niż odważyli się na coś takiego. Za nic w świecie nie pozwoliliby, żeby Lazar ukarał ich znowu kilkudniowym odmawianiem jedzenia, częstym zamykaniem się w swoim pokoju, sino podkrążonymi oczyma i paskudnie obwisłymi policzkami urodzonego pustelnika - sadystycznymi karami z morderczą konsekwencją wymierzanymi niekiedy przez kilka tygodni.

Andjela, której ginekolog obiecywał zdrowe, silne dziecko, wolała myśleć, że Lazar odszedł na skrzydłach woli i rozumu, niż że został porwany. Wierzyłem, że ma rację. Wszystko, co się zdarzyło, wyglądało na w pełni logiczny epilog jego misji na tym padole. Andjela jednak czasami i tak gorzko płakała.

Żałowałem, że kiedyś wątpilem w jej łyzy. Sama może myśleć, co chce, mamrotałem do siebie, pełen współczującej miłości dla niej, jedynej z nas, która nigdy nie zdoła przeboleć śmierci Lazara.

Mimo tych łez (które były przecież łzami ukojenia, a nie bólu) wszystko się wokół nas w tamtych dniach wyciszało.

Wszystko zwalniało tempo, nawet zegary chodziły jakby wolniej. I jeśli w pierwszych dniach grudnia nasza codzienność była romantyzowaną wersją własnego stylu życia, któż mógłby nam to mieć za złe? Zbyt wiele zwaliło się nam na ramiona, żebyśmy jeszcze pozwolili się dręczyć codziennym stresom, takim jak tłok w autobusie, droga do pracy i powroty do domu, gdzie czekała Andjela, zmęczona już, rozdrażniona samotnością i wielogodzinnymi telefonami, którymi wypełniała dni. Rozkoszowaliśmy się więc brakiem obowiązków. Wiedzieliśmy, że za parę tygodni czeka nas nowe życie, odmienne niż to - energiczne, uporządkowane co do godziny, obok maleńkiej istoty, która wciąż jeszcze dawała o sobie znak tylko pulsowaniem tętna i szmerami z brzucha

Andjeli. Do nadejścia tego dnia postanowiliśmy odpoczywać.

Najchętniej wszystkie pieniądze przepuścilibyśmy na narkotyki - powstrzymywała nas, jak w ostatnich dziewięciu miesiącach, ciąża Andjeli.

O idealnym doręczycielu

W tym nietypowym stanie spokoju, jeśli w ogóle czegokolwiek się bałem, to doręczycieli. Kiedyś długo walili w drzwi naszego najbliższego sąsiada. Jego ojciec w końcu otworzył.

Kiedy mówił, że syna nie ma, że od dawna tu nie mieszka, że nie zna jego obecnego adresu, że nie może przysiąc, ale chyba jest gdzieś za granicą, na czole wyraźnie miał wypisane kłamstwo. Był to uczciwy człowiek, który nie zwykł kłamać. Okazał się jednak bardziej lojalny wobec własnego syna niż rodzice Lazara i nie chciał wziąć do ręki powołania.

Doręczyciele się uśmiechali. Było ich dwóch. Jeden w dzinsach i długim palcie, drugi w wojskowym mundurze. Ten miał długie, jasne włosy i gładkie policzki, ale zachowywał się jak chuligan. Spluwał na ziemię tak często, że przez kilka minut spędzonych na naszym piętrze spryskał jak prysznicem całą wolną powierzchnię, a potem zaczął nerwowo przenosić ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Kiedy wreszcie zdecydowali się zostawić biednego spoconego ojca w spokoju.

Jasnowłosy zjechał po poręczy na półpiętro. Przedtem, ku mojemu przerażeniu, zbliżył twarz do judasza, przez który bez przeszkód go obserwowałem, jakby wiedział, że jestem po drugiej stronie, podglądał i że się go boję. Kiedy się nagle poruszył, drgnąłem. Jego twarz zaczęła się wydłużać, wyglądało to tak, jakby cała miała się stać nosem i eksplodować, ale kolega przywołał go do porządku, pociągnąwszy za rękaw szarooliwkowej bluzy.

I tak mój strach narastał, zaprawiony łaskotliwym podnieceniem. Wyobrażając sobie doręczyciela u własnych drzwi, widziałem tamtego. W mojej fantazji uosabiał jasnowłosego boga wszystkich chuliganów. Pod jego przewodem Ivan, Dejan, Lazar i ja, i jeszcze dziesięć tysięcy razy my czterej wypełnialiśmy szosy, gnali przez górskie wąwozy, przepływali rzeki rozdzielania, deptali po łąkach zboża, spod nóg przyskały nam kamienie, rzucaliśmy się w morze, tnąc twarzami sztywną błękitną powierzchnię. Na dnie czekały nas oblubienice, z wodorostami we włosach. Maszerując w tym pochodzie, byliśmy wyposażeni w proce, pistolety na wodę i buteleczki atramentu sympatycznego. Nad nami przelatowały latawce i samoloty z papieru. Naprzeciw nam w takich samych kolumnach szli Tomislav, Sven, Marin i Ivica\*. Jeżeli się spotkamy, zobaczymy, w co się uzbroili.

T.P. Groteskę Kid, spółka z o.o.

W tych dniach przekonałem się również, że Dejan wcale nie zamierza umocnić swojej obywatelskiej równowagi zajęciem szefa agencji towarzyskiej. Przekonała mnie o tym paczka, która przysłała na nasz adres, a zawierała dwa świetnie zaprojektowane opakowania z krzyczącymi literami: „Groteskę!”, \* Imiona chorwackie (przyp. tłum.) oraz list w osobnej kopercie. W pierwszym opakowaniu była dziecięca koszulka, czerwona, z napisem przez całe piersi:

NGR. Taki sam napis, tylko mniejszy, znajdował się na obydwu rękawach. Druga koszulka była podobna, ale tło miała zielone, litery białe, a napis brzmiał: „Spa Day”. Że paczka jest od Dejana, zrozumieliśmy (choć czytelnik wie to z góry) dopiero pod koniec wizji lokalnej, kiedy otworzyliśmy kopertę z dziwacznym nadrukiem T.P. Groteskę Kid, spółka z o.o. Zdemaskowany nadawca, Dejan, pisał:

Ponieważ zrezygnowałem z interesu, do którego zamierzałem cię zaangażować, przestraszyłem się, że za szybko o tobie zapomnę, wymyśliłem więc nowy interes, który będzie miał związek z tobą, i to niebagatelny. Sam zaprojektowałem koszulki, które ci wysyłam, i zaangażowałem doskonałych producentów, co możesz stwierdzić na wzorach. Jest to tylko mała część mojej kolekcji dziecięcej, a wszystkie prototypy, że je tak nazwę, wykonają ci sami ludzie. Jeśli chodzi o twój udział, pomyślałem, że dobrze by było, abyś pokazał te wzory swemu dyrektorowi i przekonał go do wspólnego interesu, wiem bowiem, że zajmujecie się hurtowym handlem tkaninami i konfekcją. Odstąpiłbym je na następujących warunkach, które uważam za niezwykle korzystne, itd., itd.

- Wiedziałem! - wykrzyknąłem z czystej radości, wymachując Andjeli listem przed nosem. Wiedziałem, że Dejan jest jedynym mądrym człowiekiem na tych terenach. - Jasne, synu - zawołałem do niego przez okno na znak, że godzę się na wszystko, świadom, że nie może mnie słyszeć.

Andjela rozsądnie mnie ignorowała. Koszulki obejrzała z zainteresowaniem, z wierzchu i od środka, wygłosiła krytyczną opinię o szwach (twierdziła, że są amatorskie), nie omieszkała jednak się upewnić:

- Te wzory są nasze?

Czułem ojcowską dumę z hiperaktywności zawodowej

Dejana. Koszulki były świetne, szwom nic nie brakowało, i już byłem gotów przerwać urlop, żeby powalczyć o nie u dyrektora. Jednocześnie ostrzyłem pióro, by odpowiedzieć

Dejanowi równie oficjalną korespondencją, w której dam mu do zrozumienia, że to niekorzystny okres na handel, bo

Nowy Rok blisko i już po interesach, a nowe zaczną się dopiero pod koniec stycznia, ale bez względu na to dobrze jest wziąć się do rzeczy zaraz, żeby na czas uruchomić produkcję.

Zamierzałem zaproponować mu też przedstawienie oficjalnej wstępnej kalkulacji poszczególnych rodzajów koszulek, z podaniem ilości, jakie mógłby do zawarcia umowy wyprodukować. Niezwykle mi zależało na tym, żeby trochę także dzięki mnie Dejan pierwszy raz w życiu coś zarobił. W tym czasie - w gorącym gejzerze, gdzie tylu ludzi podupada na duchu, bo nie mają właściwej broni do walki z niezadowoleniem - Dejan, otoczony współmieszkańcami, którzy umieją tylko unosić ręce w bolesnym zdumieniu wobec niesprawiedliwości, jaka nas dotknęła, wyróżniał się socrealistycznym blaskiem człowieka pracy. Życie innych nagle się rozpadało.

Wydawało się, że są szczęśliwi, że dobrze im się powodzi, aż tu nagle osoby, które kochali, odchodziły od nich, odkrywali, że żony zdradzają ich z najlepszymi przyjaciółmi, a mężowie z jakiegoś powodu bijają je sygnetami, gwałtownie ubożeli, a Dejan, choć kaleka, gotów jest do wielkich czynów! Oni rzucali palenie, miesiącami nie kupowali nic prócz pary skarpetek, kiedyś jadali w restauracji, teraz coraz częściej rozbijają jajka nad przypalonymi patelniami, a szynka i najzwyklejszy żółty ser stają się dla nich luksusem. Co prawda było im dobrze, wpatrzonym w mroczną dał, dopóki jest, jak jest. Przygotowywali się wewnętrznie, żeby kiedy bieda ich naprawdę przycisnie, całkiem przestać jeść. Odkrywali, że są w stanie tonąć głębiej, niż mogli przypuszczać, interesowało ich więc wypróbowywanie własnego stosunku do cierpienia.

Siłę do tak łatwego poddania się czerpali ze specyficznego zadowolenia biczanego pragmatyka, który po pięćdziesiątym ze stu razy mówi: „Obiektywnie rzecz biorąc, wytrzymałbym drugie tyle”.

Pochlebiałbym sobie, gdybym wyłączył siebie z tej żalösnej masy, dlatego czułem satysfakcję z powodu Dejana, który w tym kraju tonących utrzymywał się na powierzchni i szarpał się straszliwie, chcąc zwyciężyć. Przetrasponowany w charyzmatyczną postać z patetycznej hollywoodzkiej bajki o weteranie wojennym, przeszedł jakoś przez piekło i zapłacił za to, a w zamian nie ofiarowano mu nawet filozoficznego morału, bo żadnego morału w tym piekle nie było. A jednak nie wrócił stamtąd jak pusta muszla. Zmuszony spojrzeć na perkusję jak na nieprzydatny przedmiot, który tylko zajmuje pół pokoju, sprzedał ją i rozpoczął poszukiwania nowego rodzaju aktywności. Od poronionej kombinacji z agencją towarzyską szybko przeszedł na pewniejszy grunt. Jego koszulki były świetne.

Pragnę na wszelki wypadek podkreślić, że nigdy nie padałem na twarz przed Dejanem. Ale od listopadowego spotkania zacząłem go uwielbiać, a otrzymane koszulki były pochwałą za wylewy bezbrzeżnego zaufania i miłości skierowane pod właściwym adresem. Pozostało mi już tylko podziwiać go z uporem podlotka, a powinienem wiedzieć, że niezdrowo jest pielęgnować takie uczucia. Tego wieczoru mówiłem o nim tak długo i z taką egzaltacją, że Andjela w końcu poczuła się urażona i całą noc spędziła przylepiona do swojej strony łóżka. Odezwała się do mnie dopiero następnego dnia przy śniadaniu.

- Słuchaj - powiedziała, żując precla z pobliskiej piekarni - skoro ten Dejan jest taki super, dlaczego z nim nie mieszkasz?

Ale uśmiechnęła się zaraz potem. Myślę, że ją także Dejan interesował, w szczególny sposób. Jako mężczyzna był doskonały, a Andjela miała wyjątkową słabość do przystojnych mężczyzn. Nie było rzeczy, której by im nie wybaczyła.

Według niej mieli absolutne prawo zachowywać się nieodpowiedzialnie, a nawet utracić jakąś część ciała w życiu i toku kariery - moja żona była pełna wyrozumiałości dla wszystkich ich kaprysów. Podziwiała także kobiety, tak jak tylko kobiety potrafią, zwłaszcza modelki, za to, że mają idealne nogi, ale u niej widać było wyraźnie (a wiele kobiet nigdy tego nie okazuje), że mężczyźni pod względem estetycznym więcej dla niej znaczą. Ponieważ ja żywiłem takie same uczucia wobec kobiet - ich uroda zawsze mnie oczarowywała - rozumiałem ją, zadowolony, że nie reaguje zazdrością, która jest podłą bronią. I tak oto Andjela, która nie miała jeszcze okazji widzieć Dejana bez ręki, a wystarczająco odprężona, żeby okazać, jak ją to intryguje, zapytała:

- Jak z tym wygląda?

- Wygląda z tym - odpowiedziałem, również świadom jego nowego seksapilu - jak Mosze Dajan z opaską na oku.

Wspomnienia z dzieciennego pokoju

Planowanego oficjalnego listu jednak nie wysłałem. Już następnego dnia przeszkodziła mi w tym niespodziewana aktywność Andjeli, spowodowana treścią przed czekającym ją porodem, i całkiem utonałem w drobiazgowych przygotowaniach do długiego okresu rodzicielstwa, który rósł przed nami, plastycznie symbolizowany nieprawdopodobnymi rozmiarami brzucha mojej żony. W wirze tych zajęć zdarzało się, jak przed długą podróżą, że żołądek podchodził mi do gardła i tam utykał, kaszlałem więc i warczałem. Andjela coraz częściej się pocila. Spakowała rzeczy do szpitala, długo zastanawiała się nad wyborem bielizny, poszła ostatni raz na

USG, i wtedy wszystko już było załatwione. Pozostało nam tylko czekać na moment decyzji, ostrzegawcze dudnienie z jej głębi, przeciągnięcie się bezimiennej istoty w wodzie i - naprzód marsz.

Jak już powiedziałem, ja też nie traciłem czasu. Kiedy ona zajmowała się swoimi sprawami, montowałem łóżeczko w kącie sypialni. Nad nim na bocznej ścianie powiesiłem półkę na zabawki. Kilka kaftaników, śpioszków i pieluszek ułożyłem starannie w szufladzie. Talk, zapasy oliwki Pavlovicia, pianę do kąpieli dla dzieci, maść przeciw ukąszeniom i ponad dziesięć mydełek dla niemowląt ustawiłem na półce nad wanną.

Wtedy już całe mieszkanie przyjemnie pachniało dzieckiem.

Kiedy przyjdzie na to czas (powtarzałem sobie gorączkowo, szorując meble w przedpokoju), będziemy kupowali herbatki - mieszanek ziołową z kminkiem i rumiankiem przeciw skurczom żołądka - i humanę. I gnałem do kuchni sterylizować w elektrycznym urządzeniu wszystkie butelki i różne rodzaje smoczków, a także niebiesko-biały termos na butelki.

A przez cały czas, jaki spędzałem w innych częściach mieszkania, coś mnie łaskotało, wymyślałem więc przerwy, byle tylko jeszcze raz wśliznąć się do sypialni, przytulić nos do zabawki o zapachu biszkoptów, włączyć lampkę nocną, która po zapaleniu przemienia się w trzy rozbawione psiaki, nakręcić pozytywkę w kształcie uśmiechniętego pomidora, bo chciałem, żeby mi grała i jeszcze raz zwróciła w lewo i prawo naiwne oczy. Wprawiałem w ruch małą karuzelę zawieszoną nad łóżeczkiem, która po chwili wahania zaczynała się obracać.

Niebieskookie pszczoły grzecznie krążyły wokół półksiężycy w nocnym czepeczku. Olbrzymia zaba obserwowała każdy mój ruch z mrocznego kąta. Zostawiona tam, żeby wchłaniała kurz, podwinęła kończyny pod brzuszysko i taka nadęta przypominała urażonego Buddę. Demaskowały ją tylko żółtość brzucha i pstrokaty grzbiet, cały w łaty. Pajac w filcowym kapeluszu wyskakiwał z pudełka ku mojemu nosowi z histerycznym piskiem, wysuwając lśniący, czerwony język z plastiku. Miś w staromodnym kombinezonie z brązowej skóry z futrzanym kołnierzem, takim, jakie nosili piloci, i w skórzanej pilotce był zadowolony, że przez fioletowe okulary do pływania obserwuje cały ten swojski świat, którego sam był mieszkańcem.

Podszedłem, żeby go jeszcze raz dotknąć, i oparty plecami o jego plecy, odkryłem nie bez zaskoczenia (choć własnoręcznie ustawiałem każdą zabawkę) białego zajączka w niebieskim krawacie i niebieskiego z ogonem w kratkę. Trzy pokolenia lalek, które ułożyłem obok, lubiłem szczególnie. Były to prawdziwe starodawne lalki dla dziewczynek, ubrane w



koronkowe nocne koszulki, z włosami starannie upchniętymi pod czepeczki. Nasz nienarodzony syn dostał je od jakiegoś dalszego kuzyna ze strony matki, który był już dość sklerotyczny. Mimo oczywistej pomyłki nie miałem serca ich zlekceważyć, interesowały mnie, siedzące jedna między rozkraczonymi nogami drugiej. Chyba dlatego, że od pierwszego spojrzenia wydały mi się nieprawdopodobnie lubieżne. Bez tego wariackiego rozkroku nie umiałyby siedzieć jak trzeba.

Z Vanją o błahostkach, a także o Dejanie

Tymczasem cała ta przedporodowa euforia się skończyła i moje myśli raz jeszcze skupiły się na Dejanie. Czuję się winien, że go na kilka dni opuściłem. Świadom nieodwołalnego spóźnienia reakcji i znając wrodzoną niecierpliwość

Dejana, byłem zdecydowany poddać swoistemu testowi swój talent do interesów. W ogniu tej próby postanowiłem nie dzwonić do niego, póki nie będę miał w ręku wstępnej umowy na zakup koszulek na podstawie przedstawionych wzorów. Cieszyło mnie, że zaskoczę go wtedy, kiedy zrezygnuje już ze współpracy ze mną albo przynajmniej zacznie wątpić w funkcjonowanie poczty. Myśl, że dzięki mnie będzie zadowolony, sprawiała mi przyjemność, ale moja decyzja zawierała jeszcze jeden, niezwykle ważny dla mnie element: pierwszy raz w karierze zawodowej zdecydowałem się być nielojalny wobec firmy, w której pracuję. Co mnie to zresztą obchodzi, myślałem. Nawet gdyby interes z Dejanem okazał się komercyjnym hitem, na pewno nie zostanę nagrodzony niczym więcej niż standardowa, żałośnie niska pensja. A tak, pomagając Dejanowi, pomogę i sobie.

Z niecierpliwości, by wreszcie zadziałać na własną korzyść poprzez prezentację Dejanowych koszulek dla dzieci, tego samego dnia zacząłem wykręcać numery ze służbowego notesu (i to w alfabetycznej kolejności, nie omijając prawie nikogo, kto mógłby mieć jakikolwiek, bodaj pośredni związek z handlem konfekcją) i pod koniec dnia walczyłem z bólem głowy, ale byłem spokojny, bo udało mi się umówić parę ważnych spotkań na następny dzień. A że potrafiłem się zdobyć na stanowczość, odrzuciłem wszystkich, z wyjątkiem jednego (zamierzając rano uprzejmie odwołać spotkania), i skoncentrowałem się na wizycie u właściciela ogromnej firmy handlowej. Kiedy ten król tekstyliów z wyraźnym południowomorawskim\* akcentem zbadał koszulki Dejana ze wszystkich stron i tonem takim jak Andjela powiedział: „Może sprzedać”, \* Stamtąd, znad południowej Morawy, wywodzi się wielu ludzi interesu; język tamtych stron, charakteryzujący się - poza akcentem - uproszczoną składnią i błędami gramatycznymi, jest łatwo rozpoznawalny i stanowi temat żartów (przyp. tłum). a potem, odprowadzając mnie do wyłożonych skórą drzwi, brzuchaty i śmieszny, dodał: „Dzwonisz w tydzień”, rozpromieniłem się. Wracałem do domu

zdezelowanym autobusem i układałem w myślach list, który napiszę do Dejana. Uważałem bowiem (teraz pozostaje mi tylko do końca życia brzydzić się swoim zarozumiałstwem i nieuleczalną głupotą), że droga pisemna, skoro obaj nie mamy faksów, jest nieporównywalnie bardziej elegancka niż umowa przez telefon. A telefonicznie będziemy się i tak porozumiewać codziennie, kiedy rzecz się rozkręci i ryzykownie zbliży do fazy ostatecznej realizacji.

Gdy szedłem potem zupełnie ślepy na ulice, które uległy się przede mną otwierały, a właściwie prowadził mnie nieomylny instynkt miłośnika spacerów, w głowie kręcił mi się optymistyczny komiks o naszej - mojej i Dejana - błyskawicznej drodze do sukcesu, w świetle wspaniałych reflektorów monachijskich, paryskich lub londyńskich targów mody. Nie zdołał mnie otrzeźwić nawet lodowaty, ponury deszcz, ten krzyczący paradygmat belgradzkiego grudnia, ani śliska nawierzchnia na Terazijach, ani wszelkie sadystyczne ataki wczesnej zimy; szedłem i szedłem, przeciskając się wśród zwolnionych w ruchu ciał innych przechodniów o twarzach wyrażających smutne pogodzenie się z losem, o czym już mówiłem, i uśmiechałem się uśmiechem, który nie szuka odpowiedzi. Mocny i wystarczający sam sobie (a w istocie tylko porwany ogonem nieprawdopodobnej siły, którą emanował Dejan, a która teraz ukazała mi się w pełni swej intensywności i piękna), wręcz promieniałem. Tak mnie ta ofiarność dla obiektu mojego uwielbienia zachwyciła, że nie chciało mi się wracać do domu.

Wiedziałem, że oznaczałoby to koniec przyjemnych marzeń, które sprawiały mi niezmierną radość. Toteż postanowiłem iść dalej, niemal na oślep, wybierając ulice według jakiejś wewnętrznej potrzeby, której logika lub jej ewentualny brak wcale mnie nie obchodziły. Moje zmysły nastawione były na świat zewnętrzny tylko chwilami, niby precyzyjny radar, który ani drgnie, kiedy w jego zasięgu przeleci ptak, lecz natychmiast zareaguje na wrogi samolot. To wrodzone poczucie ostrożności strzegło mnie przed wypadkami, poruszałem się bez lęku, że jakiś rozszalały samochód mnie przejedzie, ale jednocześnie tak izolowany, że mogłoby mi się zdarzyć (co się zresztą stało), że po prostu minę kogoś znajomego, nie widząc go (właśnie tak przefrunąłem koło Vanji, który siedział na wysokim ogrodzeniu na ulicy Kondinej, ze stopami wsadzonymi między pręty). Rozpędzony, na pewno zniknąłbym za rogiem, gdyby nie skoczył za mną natychmiast i nie zawołał, tak jak kiedyś ja do Dejana:

- Hej!

Odwrociłem się w marszu jak na komendę. Chociaż okrzyk mógł być skierowany do kogokolwiek, wiedziałem, że chodzi o mnie. Wiedziałem też od razu, kto mnie woła. Mój mózg niby wyćwiczony adiutant wyciągnął z segregatora postać Vanji, którą sekundę

wcześniej zarejestrował i odłożył na późniejszą okazję, jako że byłem pochłonięty myślami o Dejanie i naszym przedsięwzięciu. Podchodząc, Vanja włożył obie ręce z czymś, co w nich trzymał, do kieszeni płaszcza tak długiego, że poły wlokły się po zabłoconym asfalcie.

- Graba, stary - powiedział, wyciągając rękę. Jego palce lepiły się i grzechotały niczym kastaniety.

Samą mimiką, nie mówiąc ani słowa więcej, tylko się uśmiechając, powiódł mnie w końcu pod to ogrodzenie i przywitał tu, na rogu, tak uprzejmym gestem, jakby wprowadzał mnie do swego lokum (co chyba nie było dalekie od prawdy). Lekkim skokiem zająwszy pozycję na owym szczycie, z którego mnie zauważył, z jednej kieszeni wyjął chustkę i obwiązał nią czoło, a z drugiej poszarpaną torbę, którą przybliżył do nosa, i zaczął szybko oddychać, wachając klej. Kiedy wreszcie wychynął z torby, wydawał się odmieniony - jak

Mikromegas po powrocie z podróży międzyplanetarnej. Jego głowa, odlepiwszy się od torby, raptownie poleciała do przodu, a Vanja tylko zgiął się i runął z wysokiego ogrodzenia, aż krzyknąłem ze strachu. On jednak zgrabnie wylądował na nogach po tym spektakularnym pseudoupadku. Znalazłszy się znowu na poziomie mojego wzroku, trochę poskakał, po czym uśmiechnął się.

- Uff - powiedział zadowolonym głosem i pokręcił głową. Kilka zlepionych kosmyków opadło mu na czoło, żeby się spotkać z beztróskim uśmiechem.

Vanję poznałem przez Dejana. Jakiś czas widywaliśmy się regularnie, a nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spotkał go w stanie istotnie różniącym się od opisanego. Śpiewał w GSG-9, ale robił to wyłącznie z lojalności i sympatii dla

Dejana. Dwoma pozostałymi członkami zespołu (których nie znałem i nie znał ich nikt, a czasami mi się zdawało, że oni sami nie znają siebie najlepiej) pogardzał jawnie i bez żenady. Tak ich nie znosił, że często przed koncertem dochodziło między nimi do bójk i Vanja niekiedy wychodził na scenę cały posiniaczony, z rozciętą wargą; organizatorzy za tę skłonność do awantur nienawidzili ich, ale ten szczegół wpływał na względny wzrost ich popularności. Kiedy opisywałem GSG-9 na scenie, zapomniałem powiedzieć o Vanji, bo jego postać burzyła tę wspaniałą harmonię stereotypów, wizualny akord, jaki stanowili pozostali członkowie zespołu.

Vanja naprawdę należał do innego świata. Przy Dejanie, Iksie i Igreku, trzech w owych czasach tak stylowych faszystach, z ogolonymi głowami, nagich do pasa, on wyglądał nieprawdopodobnie w swoich szarych podkoszulkach, na których nosił rozpięte kraciaste koszule z grubej flaneli, i w również rozpiętych dżinsach - dżinsy te w trakcie koncertu

obowiązkowo opadały mu do kolan, przedstawiając do wglądu węża, którego Vanja parę lat wcześniej dał sobie w Paryżu wytatuować na udzie. Jego włosy były ortodoksyjnym gniazdem frędzli i człowiek nie mógł im w cichości nie życzyć, by pewnego dnia wreszcie zaczęły wyglądać jak dredy, ale one utrzymywały się w tej żalosalnej postaci, bo Vanja nie chciał, żeby przypominały co innego niż frędzle.

- Hm, myślę, tego, kurwa - powiedział, wycierając nos rękawem. - Co tam, synu?

Zachwycony jak zawsze jego prywatnym żargonem, który z wiekiem rozwijał, zostawiając coraz mniej miejsca na sensowne fragmenty zdania, dopracowując za to potok niejasnych zwrotów, nie wiedziałem, od czego zacząć, więc spieszenie poinformowałem go, że minęło okrągłych dziewięć miesięcy, odkąd Andjela zaszła w ciążę, ale dziecko, jak wszystko wskazuje, spóźni się o parę dni. Vanji, wygląda na to, było nieprzyjemnie, że powierzam mu tę zbędną informację. Nie wiedział, co z nią zrobić. On, który zazdrośnie strzegł swego stylu swojaka z tej dzielnicy (mieszkał o dwie ulice dalej), wszelką myśl o małżeństwie i dziecku odrzucał z obrzydzeniem, pełnym naiwnej, szczeniackiej ironii. A był zaledwie o dwa lub trzy lata młodszy ode mnie. Żeby nie musieć się wypowiadać na ten temat, oblizwał zielone zęby i wymamrotał:

- OK, synu, cóż, jakby, kurwa, tego - i obydwaj pograżyliśmy się w milczeniu: ja wsparty plecami o ogrodzenie, z rękoma w kieszeniach, on z głową w swojej torbie.

Tę niezwykłą kulę o niezdrowej barwie belgradzkiego klimatu Vanja tylko na chwilę odrywał od torby, żeby zarechotać z czegoś, co chyba ujrzał w odległych halucynacjach, albo żeby odetchnąć dla odmiany stosunkowo świeżym, choć oczywiście niekleistym powietrzem. Wykorzystywał każdą okazję, aby odezwać się do przypadkowych przechodniów, zwłaszcza dziewcząt, które omijały nas szerokim łukiem.

Często spluwał.

- Wypluwam gumy - powiedział, jakby oznajmiał: „Coś mi wlało do zęba”.

Pozwoliłem mu mówić, opowiadał więc z tej swojej wysokości o lanie Bradym i Myrrze Hindley, o dzieciństwie

Charlesa Mansona, o morfinizmie Goringa, wspominał w podobnym kontekście Sammy'ego Davisa Juniora, ale nie umiałem się w tym połapać. Nie rozumiałem też, co wspólnego z wszystkimi rzucanymi mimochodem informacjami ma jakaś historyjka z życia Trobeca, ale szukanie związku nie miało sensu, bo wielce prawdopodobne, że wcale go nie było. To nieustanne wyskakiwanie z pociągu własnych myśli przypominało mi Dejana z

naszego ostatniego spotkania, tylko perory Vanji były bardziej rozwlekłe, agresywne i dłuższe.

Kto w ogóle potrafiłby śledzić rozszalałą krzywą jego myśli i skojarzeń? Kiedy wydało mi się, że przestaje mówić, i zapragnąłem sam się odezwać, Vanja wyciągnął skądś jakieś papiery i podał mi.

- Zobacz, synku - powiedział.

Wpatrzyłem się w plik rozmaitych wycinków z gazet, ale widziałem tylko czarno-białą fotografię Franka Sinatry, w krawacie z nadrukowaną pandą z trawką w pysku, w towarzystwie Judy Garland przypominającej przejrzałą

Heidi - stali oboje z zawodowym uśmiechem przed ogromnym mikrofonem, który wyglądał jak skarabeusz, obok tablicy z napisem WXYZ RADIO. Vanja nagle usunął to zdjęcie z mego pola widzenia i pokazał mi drugi kawałek papieru. Był to wycinek z jakiegoś amerykańskiego pisma z fragmentem wywiadu z Willym Burroughsem, który snuł rozważania na temat strzelectwa sportowego. Vanję ta wypowiedź zachwycała, bo przez cały czas, kiedy wysilałem się, żeby rozszyfrować tekst wyblakły od częstego używania i wilgoci, trącał mnie łokciem i rechotał:

- Strzelectwo, kapujesz?

- Nie jesteś na wojnie? - spytałem i wykorzystałem moment zaskoczenia, żeby mu wtrzyknąć kupę papierów, z których dalszej analizy usiłowałem w sposób bezbolesny zrezygnować.

Vanja, wpychając je z powrotem do kieszeni, ironicznie się uśmiechnął. Chociaż dwa lata temu użył przynajmniej połowy rozumu, żeby się wykręcić od wojska, co okazało się skuteczne, jak również korzystne dla jego śpiewania (bo od tej chwili potrafił sprostać brutalnej muzyce, jaką kreowała GSG-9, zaatakować ją swoim głosem i ugryźć), od kiedy zaczęła się wojna w Chorwacji, dawał z siebie wszystko, żeby się załapać na ten pociąg. Proponował nawet w swoim czasie Dejanowi, że zgłosi się zamiast niego, i niech będzie, co ma być, ale Dejan się nie zgodził - co prawda nie z poczucia honoru i nie z bohaterstwa, tylko z panicznego strachu, że tak głupia machlojka zostanie łatwo odkryta i dla niego wszystko będzie jeszcze bardziej skomplikowane. Oczywiście jest bardzo możliwe, że i Vanja nie traktował sprawy całkiem poważnie, że zaproponował to z frustracji, a nie ze szczerą chęcią. Po trzy - czy czterokrotnym zgłaszaniu się na ochotnika, kiedy okazało się, że w tym szaleństwie i on otrzymał swoją porcję nieszczęścia, bo nie został przyjęty, ostatecznie zaprzestał prób z armią. Potem zgłaszał się do wszystkich formacji po tej stronie frontu, ale i

tam przyjmowali go identycznie. Dziękowali za gotowość pomocy i okazany patriotyzm, ale papiery zwracali bez uzasadnienia.

- No, myślę, co - powiedział wreszcie - o to biega, mózg, kapujesz, mózg, stary, ale jadę do Chorwacji, diabli wiedzą, powiem ci, HOS i zengi\* lepiej płacą.

\* HOS - Hrvatske odbrambene snage, prawicowa formacja paramilitarna Chorwackiej Partii Prawa, rozwiązana w 1992 r.;

ZNG - Zbór narodne garde, zaczątek chorwackiej armii; zengami nazywano żołnierzy ZNG (przyp. tłum.).

- Niechże cię! - jęknąłem oniemiały. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że mówi poważnie. Ale tak było. Widziało się wyraźnie, że wszystko to u Vanji nie jest wściekłością, jakąś totalną niezgodą czy rozgoryczeniem, lecz że płonie wprost z chęci uczestniczenia w tej wojnie. Z jakiejś absolutnie niepojętej dla mnie przyczyny Vanji się ta wojna podobała, i to jeszcze jak. - Widziałem się z Dejanem, wiesz - dodałem, bo wydawało mi się logiczne, że z rozmowy o wojnie powinna wyniknąć rozmowa o wspólnym przyjacielu, który na tej wojnie został ciężko ranny. Ale głowa Vanji już była w torbie, a torba nadymała się i kłęsa wokół jego twarzy niczym zwiędły polip, który dorwał go i właśnie wysysa. Klej w środku zaczął już zastygać.

- Uch-chuch - odpowiedział Vanja, pochłonięty swoim zajęciem.

- Tak - ciągnąłem - a potem przysłał mi koszulki swojej produkcji, dobre, no i... zacząłem właśnie obchodzić różne firmy. Chcę mu je sprzedać. Przykro mi z powodu Dejana, Vanja. To świetny facet, wiesz, że Andjela zawsze miała do niego słabość, a ja go naprawdę lubię. To z ręką... jest w zupełnym dołku, zależy mi, żeby mu pomóc.

Vanja wolno podniósł głowę z torby i spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma amerykańskiego baseta.

- Koszulki? - powiedział tępo.

- Koszulki, koszulki - potwierdziłem. - Koszulki Dejana.

Założył wytwórnę. A ty masz z nim kontakt?

- Nie - odpowiedział Vanja niezwykle stanowczo. Po czym odrzucił torbę daleko od siebie, znów wskoczył na ogrodzenie i wpatrzył się w dal. - Ej, nie byłeś na pogrzebie - powiedział nagle, śledząc wzrokiem dziewczynę, która właśnie przechodziła Kondiną. Przygotowany na częste zmiany tematu u Vanji, na te gwałtowne przeskoki, nawet nie mrugnąłem.

- Na jakim pogrzebie? - spytałem.

Vanja ciężko westchnął (co było tak niezwykle, nawet z tej perspektywy, z tej wysokości, z której widać wszystko i wszystko jest jasne, że chyba już w tym momencie coś wyczułem, ale nie aż tak, bym mógł to ująć w słowa) i z powagą w oczach pochylił się ku mnie z zamiarem zajrzenia mi w twarz z bliska, żeby ocenić, czy może z niej coś wyczytać.

- Nie słyszałeś? - zapytał, a ja poczułem zdenerwowanie i nie wiedząc, jak zareagować, wzruszyłem ramionami. - Nie pieprz - dodał. I wtedy zrobił coś niezwyklego, Złożył ręce jak do modlitwy, na twarz przywołał coś, co mogło przypominać błogość, po czym zaczął machać rękoma niby anielskimi skrzydłami. - Dejan - potwierdził tę pantomimę cichym głosem.

- Co Dejan? Co Dejan? - krzyknąłem tak, że Vanja przesunął się w bok i zeskoczył z ogrodzenia. Zadrzałem. - Niechże cię! - krzyknąłem. - Nie rób tego nigdy więcej!

Podrapał się w głowę.

- O kurde - powiedział. - Tylko mnie nie bij, proszę cię. - Poklepał mnie lekko po ramieniu, przybliżył się, a mnie zahipnotyzował upajający zapach kleju. Vanja z godnością pocałował mnie w policzek. - Zabił się, bracie - szepnął, jakby w tajemnicy.

Pod pokładem

Resztę dnia spędziłem na sporach, przy wsparciu Andjeli, z panią Vidą, która w szpilkach ganiała z jednego do drugiego pomieszczenia w naszym mieszkaniu i od nowa je sterylizowała, lekceważąc mój kilkudniowy wysiłek, dziwiąc się naszej beztrosce, mieszając suche kwiaty ze świeżymi, zgorszona ścianami łazienki, które Andjela w ataku natchnienia od podłogi po sufit wykleiła pornograficznymi obrazkami.

Wymachiwała ścierką i twierdziła, że Andjela zaraz będzie miała bóle porodowe. Doprowadzało nas to do śmiechu.

- Chyba poczuję to wcześniej niż ty, mamó - powiedziała Andjela.

Jeszcze przez jakiś czas Vida rozkoszowała się rolą Mary

Poppins, a kiedy zmęczyła ją bieżanina i praca, kiedy zdjęła gumowe rękawiczki, dopadł ją żal za Lazarem. Ocierała łzy z policzków pieluszką, którą całowała nieprzytomnie, a opuszczając nas, wciąż dławiała się szlochem. Andjelę to dobiło. Kolebiąc się, poszła wcześniej do łóżka. Pełen czułości przykryłem ją i pocałowałem przed zgaszeniem światła w sypialni. W tym mroku była tak cudownie zmęczona, oczy same jej się zamykały, ziewnęła jeszcze raz, a potem mlaskała przez chwilę jak niemowlę. Kiedy wróciłem do pokoju, nie zostało mi nic prócz drzemki przed telewizorem, towarzystwa Faraona i wdzięczności dla siebie, że zdołałem się powstrzymać i oszczędzić Andjeli wieści o samobójstwie

Dejana. Rozwalony na sofie, w tej atmosferze cichej obojętności na wszystko, zdychałem z nudów. Kiedy dołączyłem do

Andjeli w łóżku, była zaledwie północ. Myślę, że zasnąłem, gdy tylko zamknąłem oczy (choć takiego zmęczenia nie da się wyleczyć snem).

Sprawozdanie Vanji i jego rozumienie osobistego gesamtlosung Dejana całkowicie mnie pokonały. Pochłonięty handlową euforią, nagle znalazłem się na lodzie i zrobiło mi się wstyd śliskiego humanitarnego porywu, który sprawił, że w pompatyczny, a w gruncie rzeczy nieczuły sposób planowałem wspólne życie zawodowe z przyjacielem, on zaś, czego w swej głupocie nie przeczuwałem, myślał o samobójstwie.

Może gdybym zadzwonił i powiedział: „Koszulki są świetne, coś z tego będzie”, może wtedy wszystko byłoby inaczej, myślałem, wracając z Kondinej na Molerovą, ale to nadawanie zbyt dużej roli własnemu udziałowi też mnie brzydziło. Po prostu Dejan znalazł się w takiej sytuacji, że musiał rozważyć własne szanse. Dla eksperymentu próbował żyć paranormalnie, udawać, że nic się nie stało, ale nie szło mu. Nigdy nie uważałem się za dobrego psychologa, toteż nic dziwnego, że wszystko rozumiałem opacznie. Bo Dejan najwyraźniej walczył ze sobą. Ten ktoś, w kim ja ochoczo zobaczyłem nowego Dejana z kikutem przedwojennego dwurękiego Dejana, stanowił potworną karykaturę, z którą on nigdy się nie pogodzi.

Nowy Dejan usiłował nawiązać jakikolwiek bodaj kontakt ze swym poprzednikiem, ale w końcu i jemu wszystko wydało się daremne. Ten nowy ktoś zrozumiał chyba, że wszelkie dalsze wysiłki są zbędne. A może i ta interpretacja jest błędna?

Może Dejan zatrzymał się raz na zawsze w środku jakiejś nierozwiązywalnej wątpliwości? Może i on niczego nie rozumiał? Może nie był zadowolony z koszulek? Może Jelena czymś go dotknęła? Jakkolwiek było, postanowiłem, wracając po spotkaniu z Vanją przez pusty ogródek dziecięcy na

Tasmajdanie, zachować śmierć Dejana dla siebie. I tak nie czułem się smutny, tylko jakby okpiony, ale to uczucie szybko słabło, i nagle zachciało mi się głośno beknąć.

Ta opowieść zbliża się do końca, lecz Dejan wykroczył poza jej ramy. Bo jakiś tydzień później pewnego ranka do drzwi zadzwonił listonosz i wręczył nam duże pudło zawierające siedemdziesiąt dwie koszulki z najróżniejszymi motywami. Była to obiecana przesyłka - wzory. W paczce, która z jednego końca Belgradu na drugi wędrowała równe dziesięć dni, nie było żadnego listu, żadnego pisanego śladu. Dejan nie załączył żadnych instrukcji ani rad. Przysłał mi spadek po sobie, żebym z nim zrobił, co zechcę.



W przejściu z najczarniejszej czerni w umowny poranek coś mnie wyrwało ze snu. Andjela siedziała obok mnie, szeroko rozstawionymi rękoma podpierając plecy, jak to robią stare kobiety, rozprostowując kości.

- Myślę, że się zaczęło - szepnęła, kiedy uniosłem się na łokciach, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Podrapałem się po odgniecionym, nieogolonym policzku.

- O Boże - powiedziałem cicho, zakłopotany.

- Myślę, że się zaczęło - powtórzyła Andjela, tym razem ochryple, obserwując swój brzuch.

- Co robimy? - spytałem, a ona przewróciła oczyma.

- Tylko nie panikuj, mamy czas, pośpijmy jeszcze - powiedziała.

Synchronicznie wróciliśmy do uroków pozycji horyzontalnej. Andjela niezauważalnie przysunęła się i oparła głowę na moim ramieniu. Poczulem coś miękkiego i ciepłego na stopach - w nogach łóżka, na swoim miejscu, ułożył się

Faraon. Jakiś psychozmiernik materializował się nad nami; gęsta, ciastowata masa przykrywała nas i czuliśmy się jak pod pokładem, skazani na rolę winnych wszystkich cierpień.

Pogrążona we śnie, Andjela odpowiedziała na niezadane pytanie, patrzyłem na nią, dopóki nie zaczęła w moich oczach drżeć jak galareta.

- Nie, nie boli, nie boli - powiedziała najpierw. - Szczoteczkę do zębów spakowałam, może jeszcze jedno mydło - dodała. - Mama oszaleje... Słyszałam, że puszcza muzykę. O, jest, jest, teraz, głucho... - powiedziała jeszcze, układając ciało jakby nie należało do niej.

Uśmiechałem się w sen, który źle nas rozdzielał. Było dziwnie, bo nigdy Andjela i ja nie rozumieliśmy się tak dobrze jak w tej niezwykłej chwili. Ziewnąłem i zamlaskałem.

- Rzym, a może jednak Ameryka? - zapytałem leniwie.

Wiedziałem, że Andjela zrozumie, co mam na myśli.

- Mmmm - odpowiedziała, jakby miała usta pełne pysznego ciastka. - Tak, tak - twierdziła pewnym, miedzianym głosem z reklamy japońskiego auta.

Coś wygrażało nam z wysokości, jakiś palec chyba, jak wtedy na cmentarzu, ale znowu bez skutku. Może znajdowaliśmy się pod pokładem, może nigdy się stąd nie wydostaniemy, choć tej nocy nie było to dla nas ważne. Śmialiśmy się oboje do rozpuku, a przecież spaliśmy.

## DODATEK

Załącznik nr 1

Kompilacja śmierci, 1989,1990,1991

Mego bardzo bliskiego przyjaciela, Petara, byłego chłopaka

Andjeli, z którym nigdy (według jej zapewnień) nie dotarła do łóżka, nagle pokonała białaczka. To, jak myślę, pierwsza z ciągu śmierci, które nastąpią. Petar był klamrą, która połączyła Andjelę i mnie. Mamy więc pełne prawo uważać go za przyczynę naszej znajomości, naszego związku, naszego małżeństwa i - w konsekwencji - naszego oczekiwanego dziecka. Petar już był niezdrowo opuchnięty, już wypadały mu włosy, kiedy pojechał do Zurychu, żeby mu tam przeszczepili szpik czy coś podobnego. Tam też umarł. Charliego przecwelili

Arabowie, kiedy siedział w areszcie śledczym. Charliemu było wszystko jedno. W zamian podarował im prawdziwą bombę zegarową: malutkie, brodawkowate ciało wirusa HIV - miał ich w sobie tyle, że mógł je rozdawać na kopy, i prawdę mówiąc, rozdawał szczerze. Umarł w szpitalu na Dreisera, zapluty, blady, całkiem nieprzytomny. Potem przyszła kolej na siostry Ninę i Leę, córki dyplomaty. Niczym osoby, które łatwo znalazłyby miejsce w Leksykonie ponurych rekordów, umarły w nikłym odstępie dziewięciu miesięcy. Pamiętam

Zaślinionego. Też na to cierpiał. Choćbym nie wiem co myślał o nim przedtem, udowodnił, że jest najmądrzejszy z tego klubu: uprzedził własny problem. Wybrał złoty strzał. Divna pewnego zimnego wieczoru dowlokła się jakoś do domu. Strasznie naćpana i zmęczona, zasnęła na muszli klozetowej głębokim heroinowym snem, z majtkami na poziomie kostek. Głowa nieszczęśliwie opadła jej w tył i kiedy rano w tej pozycji znalazł ją ojciec, była już zimna i biała. Udusiła się własnym językiem.

Oldze z lewej piersi zaczęło wyrastać coś białego i serowatego, co nie chciało się zatrzymać. Lubiała kłąć jak dorożkarz, z reguły w najmniej odpowiednich miejscach, mogę więc sobie wyobrazić, jak traktowała lekarzy, ale oni do ostatniego dnia tylko cmokali nad nią bezradnie. Wszyscy nie znosiliśmy dziewczyny Danny'ego, Jasny. Danny był taki chwiejny, czuliśmy, że igra z jego słabością. Chociaż przekonywaliśmy go, każdy na własną rękę, że Jasna to szmata, Danny uśmiechał się, jakby nie wierzył. Pewnego dnia przeciągnął się, zanim wyskoczył z okna. Wiem, bo opowiadała nam o tym jego matka, która była w tym samym pokoju. Jego dziewczyna, Jasna, ta suka, wszystkim nam dała w twarz - zaledwie parę dni po samobójstwie Danny'ego znaleziono ją: wisiała na belce w domu rodziców na Voždovacu.

Załącznik nr 2

Kronika ucieczek, 1990,1991

Kiedyś przyjaźniliśmy się i widywali codziennie z Silem i Laną.

Wiosną 1991 roku wyjechali do Utrechtu; oboje skończyli tu medycynę, a tam ona pracuje jako baby-sitter w dwóch domach równolegle i sprząta jedno mieszkanie w weekendy; on znalazł pracę dopiero po kilku miesiącach daremnych poszukiwań - Hindus z pobliskiej restauracji zatrudnił go jako człowieka do wszystkiego. Vera jest w Londynie, przedtem była na Hawajach, ale o niej właściwie wiem niewiele, bo nie utrzymywaliśmy kontaktów. Kiedyś spotkałem jej brata Jovana.

Opowiadał, że szykuje się, żeby poćpać w Amsterdamie, jeżeli go wcześniej nie zgarną, bo doręczyciele już kilka razy pukali do jego drzwi. Sasza dzieli studio we wschodnim Londynie z przyjaciółką z Istambułu, żywi się fish&chips, gapi się na domy z czerwonej cegły. Czasami kropla deszczu kapnie mu na oko. Nie ma pieniędzy, trochę głoduje, landlord zagroził jemu i Turczyńce, która jest gruba i hałaśliwa, że w ciągu tygodnia wyrzuci ich z mieszkania, jeśli nie zapłacą wszystkich zaległych rat. Skądinąd ma się dobrze. Znalazł zepsuty automat, z którego całe dwa miesiące dzwonił za darmo do

Belgradu. Dlatego wiem o nich trochę więcej niż o innych.

Urosz pracował jako steward. Teraz jest w Singapurze z żoną i dwoma kotami. Nikt nic o nich nie wie. Andjela twierdzi, że w Singapurze jadają koty, tak jak myjemy kurczaki - może wzięli swoje koty, żeby je sprzedać, na czarną godzinę? Co się stało Loli, że w centrum Madrytu oparła nogę o wygładzony mur i oddała się pierwszemu przechodniowi, na chwilę, za garść peset? Nenad przed Bożym Narodzeniem wreszcie wyjechał nowym suzuki z Waszyngtonu do Seattle, żeby spotkać się ze swoim korespondencyjnym kochankiem, sześćdziesięcioletnim psychiatrą. Przy zjeździe do wielkiego miasta patrzył zmrużonymi oczami na ogromne reklamy po obu stronach autostrady.

O nich wszystkich tylko wspominam, i tyle. Naprawdę chcę pisać o Darku, bo do niego żywię uczucia ambiwalentne. Darko był moim szkolnym kolegą, jednym z wielu, i nikim więcej.

Stojąc obok siebie w czerwonych spodenkach z syntetycznej tkaniny, byliśmy częścią węża na zlocie 25 maja\*. W sercu wypełnionego po brzegi, rozentuzjasmowanego stadionu dłonie Darka były wilgotne, jak zawsze. Zrobił krok niewłaściwą nogą, wyrwał mi się i z powodu jego niezdarności cały wąż omal się nie przewrócił. Kilku chłopaków zaczęło chichotać.

Na czole naszego nauczyciela wuefu pojawiły się krople potu.

Tymczasem rozweselone audytorium, działacze w szerokich krawatach i Tito w łoży honorowej uznali, że to sympatyczne.

Zostaliśmy nagrodzeni spontanicznymi brawami, a później wszyscy mówili, że ten zlot był najlepszy ze wszystkich.

Darkowi dyskretnie poprawiono obniżoną wcześniej zjakiegoś powodu ocenę ze sprawowania. Wcale nie lubiłem tego Darka; może dlatego tyle o nim piszę? Był jakiś przygruby, nosił niewietrzone ubrania, wydrążał ćwiartkę chleba i nadziewał ją frytkami, przerażenie budził we mnie jego zwyczaj łapania jaszczurek i obcinania im ogonów, w kieszeni wyświechtanego ubrania zawsze nosił pusty inhalator vic. Wystarczyło kilka lat niewidzenia, żeby przekształcił się w akademickiego ascetę - coś w rodzaju dalekiego kuzyna Lazara. Mówiąc precyzyjniej: ten pożeracz taniej serwolatki stał się wegetarianinem, a ćpaniem wzruszająco się brzydził. Redagował młodzieżowe czasopismo, spotykał się z Czesławem Miłoszem, Kunderą i podobnymi ludźmi. Wszystko stało przed nim otworem, a on zniecka zniknął. Wyjechał do Szwecji, ożenił się tam ze swoją długoletnią szwedzką dziewczyną, o której istnieniu nikt dotąd nie wiedział, pozostało więc tajemnicą, jak Darko, który większą część życia spędził w Belgradzie, utrzymywał ten związek. W każdym razie są z żoną szczęśliwi. Z domu jej rodziców pod Sztokholmem przeprowadzili się do miasta. Mają trzypokojowe mieszkanie z widokiem na zadbany park. Ona dostaje pieniądze od ojca, on dobrze zarabia - jest redaktorem w radiu dla naszych emigrantów. Należy do nielicznych, którzy się urządzili, ale taki już jest. Niektórzy po prostu zawsze i wszędzie się urządzają, życie rozciąga się przed nimi niczym niemający końca czerwony dywan. Chyba dlatego go nie lubiłem, a na pewno dlatego o nim piszę. Był tylko moim szkolnym kolegą, żadna ważna sprawa, a teraz wydaje mi się, że mógłby być przyjacielem. Nie potrafię przywołać zapachu jego szkolnej bluzy, czasami myślę: może go wcale nie było. Z wszystkiego, co wiedziałem o Darku, został tylko ulotny wdzięk. Napisałbym do niego list. Zadedykowałbym mu wiersz. Nie jestem wcale pewien, czy dobrze go zrozumiałem.

Może przy odrobinie wysiłku, teraz, kiedy prawie nie ma po temu możliwości, okazałoby się, że jesteśmy stworzeni na przyjaciół, jak rękawiczka i ręka.

\* Od 1945 r. dzień urodzin Tity, 25 maja, czczono sztafetą młodzieżową - pałeczkę obnoszono po wszystkich republikach, a uroczystości końcowe odbywały się na stadionie w Belgradzie.

Od 1957 r. rytuał ten stał się częścią Dnia Młodzieży. Już po śmierci

Tity (1980) Słoweńcy urządzili happening ze słupem telegraficznym jako pałeczką, i taki był koniec święta wodza (przyp. tłum.).

